Drugi nakład z powodu konfiskaty artykułu p. t. „Za co?“

Nr. 13. Lwów, 1. Kwietnia 1886. **Rok I.**

STRAŻNICA POLSKA

PISMO

POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNE

wychodzi

dwa razy na miesiąc, każdego 1. i 15.

Pojedynczych Nrów nie sprzedaje się.

PRENUMERATA
na „Strażnicę polską“ wynosi:
Kwartalnie:
We Lwowie: bez przesyłki 1 zł. 50 ct.
„ z przesyłką 1 „ 60 „
Na prowincyi: . . . . 1 „ 70 „
Za granicą: . . . . 2 „ — „

REDAKCYA w Rynku L. 8.
ADMINISTRACYA Rynek L. 9.
Inseraty od wiersza (petit) 5 ct.
Wszelkie należytości przysyłać należy pod adresem
Do Administracyi „Strażnicy polskiej“ na ręce p. **Szczęsnego Bednarskiego**, Lwów, Rynek L. 9.

†

Ś. p. JÓZEF BOHDAN ZALESKI.

Jeden z mistrzów słowa tej górnej epoki, nazywanej Mickiewiczowską, jeden z tych, co się przyczynił do wzniesienia wspaniałego przybytku poezyi polskiej, a ostatni z grona mężów, co znali serce, bo patrzyli w serce — nie żyje. W dniu 30. marca, daleko od stron ojczystych, od „rodzonej“ Ukrainy, w ustroniu wiejskiem Villepreux pod Paryżem, pożegnał Józef Bohdan świat ten cicho, jak duch co odlata. Możnaby o nim zawołać z Malczewskim:

A gdy cały ich zaszczyt krzaczek polnej róży,
Czyjeż serce, ach! czyje w żalu się nie nurzy?

Ale o takim jedynym zaszczycie mówił Malczewski dla rycerzy polskich, co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy, a Zaleski, prócz tej rycerskiej, zdobytej w walce za wolność w roku 1830, okrył skroń swoją i sławą „gęślarza“, dzierżąc silnie w dłoni lutnię Bojanową.

Pieśni jego są najpierw, po dźwięku własnością Polski, są jej po sercu i duchu, ale w duchu oraz są własnością całego świata słowiańskiego. Są w sobie pierwowzorem, nienaśladowane, wysnute z bolów, radości i smutków ludu; z cierpień i tortur narodu, z miłości, która pragnęła pobratać, a zbratanie rozumiała jeno w wolności, wierze i przebaczeniu. Może też śmierć tego, który duchem ogarnął Polskę, Ruś, słowiańszczyznę — sprawi, że jego zaczniemy lepiej, głębiej rozumieć, a potem i siebie nawzajem zrozumiemy. Oto niech nam tłómaczy zwrotek kilka, niech powie MOGIŁA TARASOWA, jak wieszcz pojmował „mir święty“:

Ku nowej nieznanej mi Mogile,
Co świeżo wyrosła u Kaniowa,
Z dalekich stron siwą głowę chylę:
Przesławna Mogiła Tarasowa.

Ów Taras — naśledni wnuk Nauma;
Naumać w obudwóch nas uczucie, —
Piastunką nam była jego duma,
Nim serca rozbrzmiały w swojej nucie.

Czem ziemia nasiąkła lat koleją, —
Rodzimych powieści woń i krasa,
Zarówno zwierciedlą się i wieją
Wskróś dumy i mojej i Tarasa.

Dalej ubolewa, że dola Tarasowa była twarda, że z trójziela nassał się goryczy i gdy już waśń tonęła po stracie wspólnej swobody, zaczął Taras wtórować w dzikie gody. Napomina duch Tarasowy i przypomina:

A przecież w odludziu cię Kirgiskiem,
W tęsknego tułactwa zawierusze,
Lach darzył — łzą bratnią i uściskiem —
Gdy Moskal katował twoją duszę.

I przepowiada, że nie będzie „dobra i szczęścia“ dopóki nie zbratają się duchy wolne w stepie.

Poskramiaj-że braci grzeszne wstręty,
Podsłuchuj w Mogile wieszczby ptasie,
Z mogiły nawołuj o mir święty
Polański spółpiewco mój — Tarasie.

A wcale to nie platoniczne było uczucie u piewcy, który polskiem słowem opiewał i sercem czuł ruską Ukrainę, ani też nie postała mu w myśli hegemonia, bo świadczą o tem liczne inne śpiewy, jak ten o Sulimie, w którym mówi: „Rycerstwem stała Polszcza — nie pańszczyzną“, więc nie chce mieć do czynienia z „jaśniepaństwem tucznem i rogatem“. A ileż to razy napomina, jak w wierszu „nasza skrucha“, by się nie „mietli bracia na braci“, bo się „wzajem wydziedziczym i pospołu pójdziem z niczem“.

Przywiedliśmy tu ustępy, które się nam wydają tak bardzo a bardzo na czasie, które warte tego, ażeby się nad niemi zadumać głęboko, aby niedwuznacznie występować względem owych „braci“ ukraińskich i żeby stosować to, co może być wymagane przez duch czasu do plemienia, które pragnie samodzielnego rozwoju.

Poeta nasz, który tchnął cały miłością, Józef Bohdan urodził się we wsi Bohaterce w południowo wschodniej Ukrainie. Ujrzał świat dnia 14go lutego 1802 roku, w dzień P. Maryi Gromnicznej starego stylu. Życie jego okupiła matka śmiercią. Wątłe dziecko oddano do chaty wieśniaczej, ażeby wzmocnić jego organizm pod niebem pięknego i bujnego porzecza Dniepru. Pierwsze więc lata spędził w chacie wieśniaka, pasiecznika, i o tej chacie, o znachorach, o dziewczętach na majdanie, wspomina nawet po latach, we Francyi. Wspomnienia te lat młodocianych, wraziły się głęboko w umysł dziecka, a następnie wyrostka, gdyż tak na „woli“ przebywał do roku 1815. Rok ten stanowi ważną epokę w życiu młodzieńczem poety, ponieważ o tej porze, a zatem w 13 roku życia, oddany został do szkół bazyliańskich w Humaniu. Wszyscy nauczyciele tej szkoły i przełożony jej byli duchowni. Tylko nauczyciel rysunku był świeckim człowiekiem. Zaleski znalazł się tu pomiędzy takimi współuczniami, jak: Goszczyński, Grabowski — o którym mawiał później, że „brał na rozum“ czyli nie podzielał zapału innych, do których należeli i Groza, Padura i inni.

Pierwszy utwór Zaleskiego, drukowany w roku 1819 miał cechę na wskróś klasyczną, bo taką była tradycya w szkołach, i tak samo uczono w Humaniu. Ale z Warszawy dochodziły już wieści o nowym kierunku, już wówczas znany był *Wiesław* Brodzińskiego, o którym i Mickiewicz wspomina niemal z uwielbieniem, mówiąc, że „za dni moich czytano nieraz pod lipą na trawie Pieśń o Justynie, powieść o Wiesławie“. I Zaleski zachwycony prostemi a rzewnemi pieśniami poety żołnierza Brodzińskiego, wybrał się do uniwersytetu warszawskiego, ażeby być bliżej poety i profesora, który również w sieroctwie swojem, tulił się niegdyś do chat wieśniaczych.

W Warszawie szukać musiał Zaleski egzystencyi jako nauczyciel domowy, dla tego nie mógł często zostawać na miejscu, lecz musiał, towarzysząc uczniom, jeździć po kraju z rodzicami uczniów.

Na te lata pobytu w Warszawie, przypada spotkanie piewcy *Rusałek* i *Ducha od stepu* z Antonim Malczewskim, który spojrzawszy na Zaleskiego, rzekł: „Ej, tyś tu tabun przypędził Kozacze, i tęsknisz nazad w step zasumowany“. Tęsknotę ową przerywa w roku 1830 okrzyk: do broni! i Zaleski zmienia wówczas lutnię na oręż, staje w szeregach z razu tak świetnych, tak zwycięzkich, których nie pokonywa nędza i znużenie wojny, lecz „dyplomacya“ niedołężna rodaków. I o tej chwili, jednej z ostatnich wojny wspomina poeta w wierszu „w zmierzchu dnia“, który zaczyna:

W słuchu z Grochowskich pól pioruny
Dotychczas budzą męskie dreszcze,
Dotychczas Gęśli złotostrunej
Rozbrzmienia w słuchu drgają jeszcze“.

I drgają tak przez całe życie. Poniósł je lutnista daleko za granicę, wynosząc w piersi ból, z „bojów“ sławy odrobinę, stopień oficera wysłużony krwawo i krzyż *virtuti militari*. Ale przy bolu nie zwątpił nigdy. Pierwszą stacyą, u której zatrzymał się zagranicą, był Paryż. Ale duszy kozaczej i czumaczej nie sposób było dosiedzieć na miejscu, przenosił się to do Endoume pod Marsylią nad morzem, to do Fontainebleau, Plombières, to do Sèvres, to znowu do Szwajcaryi. Nareszcie po długich poszukiwaniach cichego kąta osiadł w Villepreux, gdzie doczekał śmierci, do której w sędziwych latach tęsknił, w przekonaniu, że tam w „rozstworzach“ nieskończonych spotkają się dusze druhów żołnierzy, bojowników słowa, przyjaciół serdecznych. Gdy obłęd Towiańszczyzny zdołał obałamucić nawet tak potężne umysły, jak Słowackiego i księcia poetów Mickiewicza, Zaleski uległ mu tylko na chwilę i nie długo się łudził. Wyrzekł się, wyprzysiągł zgubnego obłędu i nie wrócił do niego nigdy.

W roku 1842 ogłosił po raz pierwszy zbiorowe wydanie w Poznańskiem pism swoich. Przedtem drukował tylko dorywczo po czasopismach lub w skromnych tomikach. Z czasem utwory wzrosły i najkompletniejsze ich wydanie wyszło nakładem Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie w czterech tomach w roku 1877. Twórczość i siła nie odstępowała pieśniarza do ostatniej niemal chwili. Głęboko odczuwał wszystko, co się działo w kraju. W roku 1863 i po pogromie, powstały pieśni nowe, wielbiące bohaterstwo. Ta sama w nich przezroczystość, wiara i miłość, co i w pieśniach z epoki najwyższej nadziei.

Jak piękności i bogactwo słowa Zaleskiego ocenił Mickiewicz, świadczą słowa jego z wykładów o literaturze słowiańskiej, wypowiedziane w kollegium francuskiem jeszcze w roku 1842, a zatem w czasie, po którym przybyło tyle jeszcze prawdziwych skarbów pieśni, wygranej na gęśli ukraińskiej Bohdana. Mickiewicz rzekł:

„Zaleski niewątpliwie jest największym ze wszystkich poetów słowiańskich. Rzucił on pęk kwiatów na zakończenie igrzyska poetyckiego Słowian, i będzie zawsze wprawiał w rozpacz tych, coby jeszcze chcieli miłować sztukę dla sztuki samej; wyczerpał bowiem wszystkie sposoby, wszystkie rytmy, wszystko co jest najświetniejszego w kolorycie, najdelikatniejszego w odcieniach“.

A my dodać tylko możemy: któżby się poważył lepiej, wybitniej scharakteryzować wagę i piękność pieśni wieszcza, nad którego świeżą mogiłę w dal posyłamy łzę i przysięgę wierności jego upomnieniom!

Ale Józef Bohdan umiał też płonąć niezmiernym ogniem oburzenia, gdy widział nieprawość albo obłudę. Tak on karcił braci Słowian, którzy pielgrzymowali w roku 1867 do Moskwy na ów sławny zjazd etnograficzny, a karcił ich nie za pielgrzymstwo, ale za to, że wysłuchali bez protestu bluźnierstw przeciw pokonanej i zdeptanej Polsce. Wyraził on te uczucia w „Improwizacyi polskiej ku panslawistom, powracającym z Moskwy, na ręce panów Palackiego i Rygiera“. Przed improwizacyą położył poeta mającą głębokie znaczenie gadkę ukraińską, która brzmi „*Iwan mowczyt' a wse znaje*“. A znaczy to tyle, że potomne plemie kozacze tam się zwróci, gdzie zobaczy wolność i szczerość, a odwróci się od Moskwy. Wierzył bowiem Zaleski, że w Polsce po stłumieniu przesądów znajdą się ludzie nieobłudni i uczynią prawdą wolność i równość.

To też zabolało go bardzo, gdy rossyjski poeta od „święta“ Tiuszczew, który się śmiał porównywać z Puszkinem, zelżył pamięć Kościuszki i największych poetów Polski, i pisał wtedy Zaleski między innemi słowami Tiuszczewa:

— „Co tam Słowacki albo Krasiński!
I sam Mickiewicz ich, i Kościuszko,
Stoją tam w skazkach (*) gubernii mińskiej,
Drjań, adnodworce, Moskwo matuszko!“

*) *Skazki*, księgi ludności w Rossyi.

A następnie zwraca się do panów Palackiego Rygiera i woła:

Mężowie czescy! — teraz na ostrze
Was wyzywamy — boleśni w duszach;
Te urągania — o Polsce — siostrze,
O męczennicy w srogich katuszach,

Wyście słuchali — Czescy mężowie!...
Twojać sędziwa, myśląca postać...
Tyś walny sercem... tyś żartki w słowie...
I żaden kłamców nie śmiał ochłostać.

Przedstawiawia dalej, że moc przenosi się z ludu do ludu, a każdy naród ma swe orkana, że gorszą j u g (południe) Słowiańskie, które jest jeszcze dziecięciem i kto wie czy ten będzie górą, kto z siły dziś tryumfuje, jej się kłania a kłamie.

I prawda, i ostatnie słowo będzie tego wieszcza, który i to powiedział:

Słowiaństwo! — Rodzaj na wieki młodzieńczy,
W szerokosławnych plemion swych Języku!
Tęcza — na chmurnem Niebie, co się wdzięczy
W promiennej krasy siedmiorakim liku:
A U k r a i n a — Z ł o t y B l a s k w t e j T ę c z y.

Tylko że on tę swoją ojczyznę Polskę i ojczyznę Rusina Ukrainę, nie chciał widzieć ani pod stopą despoty cara, ani pod rozkazami królewiąt, magnatów polskich, lecz wolną a pod prawem. Rycerzy widzieć pragnie, broniących z obu stron wolności, a nie Machiawelów i żandarmów.

Zamilkł już głos, który to wszystko wyśpiewał, ale dusza jego w pieśni przypominać nam będzie obowiązek i nadzieje. Uroniwszy szczere gorące łzy, które popłyną mgłami osnuć mogiłę naszego Bojana, wczytujmy się w pieśni jego, zrozumiejmy go, a lepsza przyszłość, której tak pragnął Józef Bohdan, zajaśnieje nam i poleci sokołem do Mogiły wieszcza.

Na dziś.

I.

Po rozpatrzeniu się pobieżnem w klęskach, które spadły na społeczeństwo polskie w ostatnich czasach, po zaznaczeniu upadków ekonomicznych, po wysłuchaniu groźb berlińskich, po skonstatowaniu, że nawet tam, gdzie władze niebieskie i ziemskie najłaskawsze jeszcze dla nas, a zatem w Galicyi, że nawet tam, dużo nam brakuje, po przekonaniu się; że w systemie petersburskim względem naszych rodaków nie zanosi się na zmianę ku lepszemu, a nakoniec po setnych i setnych ubolewaniach nad tem wszystkiem — cóżeśmy zrobili tak chwalebnego. czegośmy się nauczyli, w czem dojrzeliśmy, jaką drogę obrali, albo jaką drogę wskazała, doradziła lub przynajmniej wyjaśniła zbiorowo opinia publiczna, której wyrazem jest a raczej być powinno wielce poważne, a częściej na koturnach chodzące, dziennikarstwo galicyjskie??

Na zapytanie to musieliby czytelnicy odpowiedzieć wymownem milczeniem, a gdyby ktoś natarczywiej nastawał na jakąkolwiek odpowiedź, to możeby sobie niektórzy przypomnieli pewne luźne hasła, pewne oklepane frazesy, jak: wytrwałość, praca, nieśmiertelność idei, wyższość siły moralnej od brutalnej itp., które się odezwały po ochłonięciu z pogromów i po groźbach.

We wszystkie te cnoty, jeżeli są, wierzymy, ale nie wierzymy w to, żeby je można mieć na zawołanie. Zresztą wierzyć w zwycięztwo pewnej idei, bez pracy nad nią właśnie, to tak łatwo i nic nie kosztuje. Ale powiedzieć, jaką powinna być praca, to trochę trudniej. To nietylko trudne zadanie, ale czasem, a u nas przy sprzeczności poglądów, przy mnóstwie przesądów i podejrzeń, najczęściej niemożliwe zadanie.

Pozostaje więc jedna jedyna droga, a to zbadać przyczyny naszego małego znaczenia w świecie, zastanowić się, czemu tak słabe echa odzywają się, gdy my czujemy, że nam tak wielka dzieje się krzywda, gdy nam się zdaje, przynajmniej wielu z nas, że świat powinien zakipieć oburzeniem, a on tymczasem nic, albo bardzo mało ma do powiedzenia.

W objawach oburzenia starają się wprawdzie wyręczyć zagranicę nasi rodacy najbliżsi. w Galicyi pojawiły się bowiem tu i owdzie, to artykuły piorunujące na wyzucie się z cnót dyplomacyi, to wierszyki jaskrawsze lub blade, silniejsze lub bez siły, które chcą napoić znękanych otuchą — ale to wyręczanie Europy, nie dochodzi do uszu europejskich. Tam daleko od zachodu oburzenia nie słychać, głucho o niem i bliżej, a na własnem śmieciu nie ustaje tymczasem kwilenie, często szlachetne rozrzewnienie, czasem jakiś głos luźny, rozumny, nie obejmujący jednak sytuacyi, nie wskazujący gdzie złe, a którędy iść wypada, żeby dobro znaleść.

Nie znajdzie dobra i poparcia dla siebie, kto się dobrowolnie wyzuwa ze środków pomocniczych, budzących sympatye, słowem, kto się zasklepia w sobie, ścieśnia swoje poglądy i zaczyna się obracać w błędnem kole polityki westchnień, ubolewań i składania wszystkiego na Opatrzność. Taką jest polityka reprezentacyi dzisiejszej z Poznańskiego w Berlinie, a rodzoną jej siostrą polityka reprezentacyi g a l i c y j s k i e j w W i e d n i u, k t ó r a z n o w u o d k ł a d a w s z y s t k o d o l e p s z y c h c z a s ó w.

Kto to ma być sprawcą tych lepszych czasów? Czy wypadki, na które zgoła nie wpływamy, czy możni a nam nieprzychylni? To prawdziwa zagadka. Nic nie robiąc, można się doczekać gorszych czasów, ale żeby wierzyć, iż zyska się lepsze za nic, to prawdziwy braminizm.

Ale czy można robić i co? Według nas można, a robić w ten sposób, żeby praca ta wychodząc na pożytek moralny nie tylko nam, ale i innym narodom, jednała nam przyjaciół.

Fakt to bowiem, że kto większe usługi oddaje ludzkości, ten i większy musi mieć udział w korzyściach zbiorowych usiłowań. Usługi mogą być moralne lub materyalne. Materyalnemi nie może służyć społeczeństwo bez bytu politycznego, gdyż nie mając sił fizycznych w znaczeniu międzynarodowem, nikt z niem nie będzie szukał sojuszu.

Pozostają jednak usługi moralne. Pole to bardzo obszerne i zdziałać na niem można bardzo wiele, skoro się wytworzy odpowiednie ku temu warunki. Do warunków tych potrzebna przedewszystkiem dojrzałość polityczna, rzeczywista nauka, wyrzeczenie się przesądów i praca wszystkich, oraz doskonalenie tej pracy we wszystkich zawodach.

Na usługi w sferze moralnej, kładli historycy nasi zawsze nacisk. Utarte też było przekonanie i powtarzane jest przez publicystykę, że jesteśmy i teraz potęgą moralną.

Niestety, było tak lecz nie jest. Było tak, ale tylko dopóty, dopóki pokolenia poprzednie, poczytywały za swój obowiązek bronić nie tylko praw narodowości własnej, ałe i praw wszelkich, gdziekolwiek one były zagrożone.

Było więc z korzyścią dla nas bronić idei zrozumiałych i rozumianych w całej Europie, w całym świecie cywilizowanym. Praca w obronie zasady demokratycznej, zasady wolności, zasady tolerancyi religijnej, tkwiącej w tradycyi narodowej a tak zgodnej z postępem, dalej w obronie wolności słowa, była pracą stanowiącą usługi moralne. Prawdy te rozumiała cała Europa, rozumiała więc i nas lepiej.

Dziś nikt nas nie rozumie, albo ze zdziwieniem zapytuje, gdy usłyszy wyobrażenia przedpotopowe; zkąd odgrzebana ta mumia?

Niegdyś bowiem reprezentanci nasi stawali przy każdym sztandarze prawdy, przy każdej idei ożywczej, urodzonej z duchem czasu — dziś możemy ich widzieć przy każdej reakcyi.

Liczne frakcye, które w społeczeństwie narzuciły się na przywódców jego, pogrążyły się w obskurantyzmie i chcą w nim pogrążyć naród cały.

Że są to frakcye samozwańcze, o tem świadczy ich chełpliwość i ich czyny. Chełpią się bowiem, iż są światłem, rozumem i czołem narodu. Tak zaś nie mówi nigdy stronnictwo, które rzeczywiście skupia w sobie zbiorowe życzenia i wolę społeczeństwa lub narodu.

Czy to jednostka, czy grupa ludzi, która nie dyktuje, lecz siłą wewnętrznego przekonania wiedziona, głosi swoje zapatrywania — powie zawsze iż jest sługą narodu, bo w istocie pragnie mu służyć, czem może najlepszem. Służy więc sumą doświadczeń, postrzeżeń i przekonań oświetlonych ile możności światłem prawdy krytycznej. Tylko samozwańcy najgorszego gatunku chcą dyktować i żądają ślepego posłuszeństwa, a gdy nie idzie po ich myśli, denuncyują społeczeństwo o przestępstwa, których się ono nigdy nie dopuściło. To zdradza ich złe zamiary.

Ale kto chce służyć szczerze, poprzestaje na wypowiedzeniu przekonań, wie bowiem, że wcześniej czy później, znajdą one odgłos w sercach i umysłach społeczeństwa.

Zwróćmyż teraz uwagę na przodujące frakcye w Prusiech i w Galicyi i zastanówmy się, czy bezprogramowość i zastosowanie się do niej, wystarcza na dzisiejsze czasy? Czy postępowanie ich może nam zjednać sympatye w Europie i u ludów, z któremi losy kazały nam żyć wspólnie?

Czy obrona obcych nam, a w Gałicyi szkodliwych wyraźnie interesów jezuickich, nie jest pracą nad zdobyciem antypatyi wszystkich ludów światlejszych? Czy niedopuszczanie prądów postępowych do społeczeństwa, jest w oczach panów uzurpatorów zasługą względem własnego narodu? Niegdyś, jak mówi słusznie senator byłej Rzeczypospolitej Wybicki, przespaliśmy wiek cały, gdy inne narody kształciły się i rosły w potęgę fizyczną, a gdyśmy przetarli oczy, byliśmy już skrępowani. Czy dziś nie zanosi się na taką samą drzemkę umysłową i polityczną?

Pamiętnik więźnia stanu

ś. p.

Ks. Wincentego Bukowskiego,

PLEBANA.

13)

(Ciąg dalszy).

Trzeciego dnia śledztwa mojego przyniósł konsyliarzowi pałkarz list; przeczytawszy go, daje swojemu pisarzowi i mówi: — „Ten zasłużył na to". — Ale pobladł i serce biło mu mocniej, widocznie odezwało się w nim nieczyste sumienie. Krótką była indagacya ze mną. Gdy ukończył, rzekł do mnie: „Za trzy dni zawezwę pana, niech sobie pan napisze albo spamięta, co może wnieść na swoją obronę". Gdym wrócił do kaźni i sąsiadom o owym liście nadmieniłem, oraz o słowach, które wymówił, nie mogliśmy wpaść na domysł, co to być mogło. Aż tu gruchła wiadomość i od kaźni do kaźni zaczęto pukać: „Zająca zastrzelono w Krakowie". — Ktoś Zajączkowskiemu, osławionemu i znienawidzonemu palnął w łeb na plantach w Krakowie, a z powodu tego przylepiono na kościele Kapucynów następujący wiersz:

„Na plantach na drodze pod Kapucynami
Zastrzelono Zająca między tysiącami.
Choć was jest tysiące
Strzeżcie się Zające".

Jakiś żydek wlazł z namowy do pokoju konsyliarzowej Zajączkowskiej i pytał się, czyli tu jest skórka z zająca na sprzedaż? — Zajączkowski był srogi nie do opowiedzenia, rzucał się formalnie jak tygrys, a nie tylko ścigał starszych, dorosłych ludzi, akademików, ale znęcał się i nad dziatwą szkolną, którą kazał siec rózgami. Dla więźniów stanu był tyranem. Postępowanie jego było tego rodzaju, że nawet najostrzejsi sędziowie śledczy nie brali go w obronę, to się też nie dziwili, jaki go spotkał koniec.

U nas na tę wieść były wieczorem śpiewy i owacye. Lwów i Kraków brzmiały radością po wszystkich domach polskich. Smierć jego uważano jako zwiastuna lepszej doli.

Za trzy dni przywołany do trybunału, wniósłem do mojej obrony, że w tym powszechnym ruchu w całym kraju nie mógłem być obojętny i to co mi zarzucają sądy, uczyniłem jako kapłan kochający naród. Prosiłem o wzgląd i zmniejszenie kary, abym mógł jeszcze swoją matkę żywić. Pisma te obronne były jednak nadaremne, a sądy nieubłagane. Dixi et salvi animam meam.

Ustnie prosiłem pana sędziego, aby mi dał stósownego towarzysza, by się już raz moja samotność skończyła. Takie to były sądy nasze! — Dziś sądy odbywają się publicznie, a nie przy zamkniętych drzwiach. Cóż się jednak dziać mogło w ówczesnych sądach tajemnych, o tem tylko Bóg jedynie wie. Ileżto strasznych dramatów odegrało się w więzieniach, o których zaledwie głuche wieści wydobywały się z poza krat. Surowość i postrach łamały najsilniejsze duchy, każdy lękał się swego cienia.

Widziałem Kaspra Cięglewicza na rusztowaniu, widziałem w budach drewnianych morzonych więźniów do indagacyi, a okutych w ciężkie kajdany jak dzikie zwierzęta, chociaż niejednemu patrzała już śmierć z oczów, nie było więc obawy, aby gdyby nawet chciał i mógł, usiłował odzyskać wolność. A w jakieżto lochy rzucano patryotów i w jaki sposób pastwiono się nad nimi w tych tajemnych norach, mianowicie nad tymi, którzy nic wykryć nie chcieli. I słusznie miał Goslar, gdy rzekł sędziemu, upominającemu go, aby zeznał prawdę:

„Mów prawdę tam, gdzie prawda przynosi korzyść, lub staje się nauką". Co innego w publicznych sądach, tam w sprawie polskiej wyznawaj prawdę tak, jak Ludwik Mierosławski w roku 1847. przed trybunałem w Berlinie, gdy wyrzekł:

„I gdzież ci winowajcy, co przeciw rządowi pruskiemu wystąpili? Czy ich tylko tyle, co tu zasiadło? (Było oskarżonych 254). Tylko tyle udało się rządowym rybakom ułowić rybek i trochę szczupaków? Nie ci tylko, ale cały naród powinien tu

Za szczyt patryotyzmu bowiem poczytało stronnictwo wsteczne fraternizowanie ze wszystkiem, co pachnie wiekami średniemi. Reszta pracy żmudnej tego stronnictwa jest blagą, potrzebną dla zyskania poparcia w sferach decydujących.

Pierwszorzędną blagą są wszystkie ostrzegania przed niewczesnymi ruchami, albo spiskami w ten czas, kiedy społeczeństwo może zaledwie schwycić oddech znużoną piersią, kiedy nędza ekonomiczna nie pozwala nawet zająć się najpilniejszemi kwestyami publicznemi. Blagą jest wymyślanie na warcholstwo i szowinizm polski wśród patryotów,

Warcholstwo bowiem, pycha z blagierskim językiem, wlazły w gardła tych panów, którzy się nazywają konserwatystami.

Czyliż to bowiem nie blaga, gdy panowie ci mają ciągle na języku rzekomą potęgę moralną i umysłową narodu? Gdzie i w czem ta potęga? O tem nie mówią, ale zasłaniając się frazesem i hasłem, rozumieją siebie i cały zastęp protegowanych świętoszków. Tymczasem potęga moralna, jeżeli była, jeżeli jest i drzemie, to przecie nie w tych mumiach galwanizowanych widokami tytułów i krótkotrwałego rozgłosu.

W czemże była owa siła moralna i gdzie źródło, z którego czerpaćby mógł ogół oświecony ? W skarbach literackich ostatniej, świetnej epoki. Tak odpowiedzą i wstecznicy. Ale skarby te zgromadzili ludzie nie waszych przekonań, nie wasza ręka je pielęgnowała, lecz wasza ślina oplwała je niejednokrotnie z cynizmem.

Tak z jednej strony błaznując i znęcając się nad tem, co było zbyt żywe w owych skarbach, a z drugiej szerząc prostracyę polityczną, do czego doszła w czynach frakcya wsteczna? Oto przy każdej sposobności popierała projekta ustaw ścieśniających wolność wyznań wolność nauki i nauczania, wolność zgromadzeń, i słowa w prasie peryodycznej.

Za zbrodnię poczytała solidarność ze stronnictwami liberalnemi i postępowemi, z zasadami demokratycznemi których nie rozumie, lub rozumieją przekręca; za występek ogłosila każdy objaw z myślą i postępem współczesnym.

Jakim więc spesobem rozumieć ma Europa takich rzekomych obrońców narodu i naród sam, który zepchnięty został za prywatne interesa frakcyi. Jeżeli ludzie opinię reprezentantów narodu, mają brać za wyraz życzeń narodu, to dowiedzą się tylko, że naród ten przez usta ich wrzeszczy, że niechce postępu, że chce stać tak na ojców kości, jak mumia, nie jak żywy organizm. W następnym artykule usiłować będziemy podać wskazówki, jakim sposobem wyjść z tak smutnego stanu.

„Swiet"

Petersburska gazeta w artykule wstępnym, pomieszczonym w numerze 63cim, pisze co następuje:

„Jest przysłowie, które ze względu na jego znaczenie historyczne, należałoby przypominać sobie jak najczęściej. Przysłowie to powiada: „Ruskij czełowiek zadnim umom kriepok". Ma to znaczyć, że rosyanin ufając siłom swoim niespożytym, bardzo często zasypia sprawę, a potem, gdy się ocknie, spostrzega iż wyrządzono mu krzywdę, na pokonanie której nie starczą już nieraz siły.

Od wielu lat już przecie i pisze się i mówi się, że jest źle na zachodniej granicy, a to złe ciągle się tymczasem rozwielmożnia.

„Moskowskije Wiedomosti" potrąciły znowu o tę starą kwestyę.

Zachodnia nasza granica jest w wielu miejscach całkowicie otwartą dla fabrykantów zagranicznych, którzy powznosili tu swoje fabryki i zakłady dla tego jedynie, aby tem skuteczniej współzawodniczyć z przemysłem rosyjskim, aby tem łatwiej uprawiać dozwoloną i niedozwoloną kontrabandę. Po przez te przesmyki wciska się tysiące pracowników cudzoziemskich, zabierając chléb miejscowej ludności roboczej. W jednej tylko gubernii Piotrkowskiej pracuje 13.000 robotników obcych, a kilka tysięcy z pośród nich zamieszkuje w Prusach i przybywa codziennie na zarobek na terytoryum nasze. W Łodzi cała administracya fabryczna znajduje się w rękach cudzych; wszystkie najlepiej płatne miejsca pozajmowane są wyłącznie przez Niemców; dyrektorami, inżynierami, majstrami głównymi są wyłącznie sami Niemcy. W ogóle w zarządzie zakładów fabrycznych w okręgu łódzkim położonych, 80 przynajmniej procent stanowią cudzoziemcy, a gdy w dodatku weźmie się pod uwagę fakt, iż co najmniej trzy czwarte właścicieli fabryk i zakładów są poddanymi zagranicznymi, to pokaże się jak na dłoni, w jakiej piekielnej zależności przemysł się nasz znajduje. Ale to jeszcze nie wszystko.

Dla uzupełnienia tego rozkosznego obrazu jeszcze zwrócić uwagę na osiedlonych w centrach fabrycznych Niemców i żydów, którzy przyjęli poddaństwo rosyjskie, a najzupełniej współczują cudzoziemcom. Element ten ostatni w Łodzi, Tomaszowie, Fabianicach i Zgierzu, wynosi 60 prc. ogółu ludności stałej, a w języku, obyczaju i tendencyach, przechował w zupełności narodowość swą niemiecką, i nietylko sojusznikiem jest obcych poddanych, ale stanowi z nimi jedną całość niewzruszoną, zupełnie odosobnioną od pozostałej ludności tubylczej.

Takie dominujące znaczenie, nadane sztucznie żywiołowi germańskiemu w Priwislanskim kraju, dało Niemcom tytuł do takiego zadarcia nosów, że gwałtownie by już należało przejechać się po tych nosach. (Oho! P. R.)

W jednym z zakładów naukowych warszawskich, pastor protestancki, nie chciał pozwolić wychowańcom protestantom, uczestniczyć w dniu 13. Marca w żałobnem nabożeństwie, odprawianem za cesarza Aleksandra IIgo. Protest był tak energiczny, że zastanawiano się już nad tem, czyby mu nie należało ustąpić. Rzecz prosta, że w samej Warszawie, pod okiem takiego jak generał-adjutant Hurko naczelnika kraju, nie mogło dojść do skandalu i że koniec końcem na nabożeństwie znaleźli się wszyscy uczniowie bez różnicy wyznania.

Ale przedstawiciel rządu rosyjskiego w Warszawie, lubo dostatecznie silny po temu, iżby nie pozwalać na takie jak powyższy wybryki, nie ma skutecznego sposobu przeciwdziałania owemu stałemu systematycznemu wywłaszczaniu kraju, które też wzmaga się coraz. Żeby oprzeć się zalewowi, potrzeba stanowczych rozporządzeń specyalnych, opartych na podstawach rozumnej polityki narodowej i ekonomicznych interesów Królestwa.

Każda rzecz ma swoją właściwą historyę.

W początkach powstania 1863 r., b. feldmarszałek hr. Berg zrobił w Petersburgu przedstawienie, że według niego, osiedlanie w Polsce Niemców, jest jedynie dobrym sposobem na zgniecenie Polaków. (!) Wielu Rosyan próbowało protestować przeciw projektowi, wielu utrzymywało, że germanizować dobrowolnie swoje prowincye, znaczy to samo, co obudzać na nie apetyt niemieckiego sąsiada, ale hr. Berg nietylko nie cofnął zapatrywań swoich, lecz owszem, gdy został Namiestnikiem Królestwa, dowodził wcale nie dwuznacznie, iż zniemczenie części Polski z tamtej strony Wisły, ba! że ofiarowanie jej nawet Prusakom, najlepszem jest rozwiązaniem kwestyi polskiej. Hr. Kotzebue był słowo w słowo tego samego zdania. To też w tym czasie rozpoczął się gwałtowny ciąg Niemców do Królestwa, a administracya kraju nie tylko nic przeciw temu nie miała, ale owszem pomagała napływowi, ile jej sił starczyło. W Berlinie zacierali ręce z radości i uważali, że hr. Berg i hr. Kotzebue to najdzielniejsi działacze... rosyjscy.

Potrzeba cofnąć się od tego wstrętnego systemu i piętnować głośno tych, co dopomagają rozczłonkowywaniu państwa, co się przyczyniają do osłabienia krainy, bo to boleśnie może się dać uczuć w przyszłości.

Tak pisze moskiewska gazeta „Świt".

W Sejmie pruskim

była dnia 7. Kwietnia b. r. mowa o karach na tych, których dzieci szkołę opuszczają.

---

zasiąść te ławy, zacząwszy od dziecka, które uszło z pod pałki Szeli, aż do starca, który opowiada o rzezi Gonty i Zeleźniaka. Wszyscy tu powinni siedzieć, bo oni wszyscy buntownikami i upominają się u pruskiego rządu o swoją własność, dziedzictwo po praojcach".

. . . .

Takie mowy elektryzują i obcych. Lecz wracam do rzeczy. Gdy mię sędzia śledczy wysłuchał i wypisał co mu w pióro dyktowałem, rzekł: „Oddaj się pan Bogu i czekaj cierpliwie wyroku swego. Nie wypadnie dla pana nic pomyślnego, bo rząd surowo karać będzie tych, którzy nadużywając charakteru kapłańskiego, ludowi bunt opowiadają.

— „Da się to widzieć — odrzekłem i pożegnałem pana sądziego.

Na trzeci dzień przyprowadzono mi towarzysza, byłego strażnika finansów Kossowskiego, młody, ale poczciwy. Z tym przepędziłem trzy tygodnie. Obwiniano go, że broń woził, ale mu tego nie można było dowieść. Bronił się nieborak jak mógł i wypierał, że nie wiedział co było na wozie. Sędzia jego śledczy Filaus, zwany powszechnie „filolaus", słynął ze swej wścieklizny, a wyszukano go dla nas jakby w korcu maku. Maltretował Kossowskiego i znęcał się nad nim, a gdy to nie pomogło, zagroził mu kijami. Biedak wróciwszy z indagacyi opowiada o groźbie, że będzie bity jeżeli po południu nie zezna prawdy. A ja mu na to: „śmiej się przyjacielu z tej groźby, bo widocznie sprawa twoja dobrze stoi i chce tym ostatecznym postrachem coś z ciebie wydobyć, bo gdyby miano jakieś pewniki, toby ci nie grożono kijami, tylko skazano, postawiwszy do ócz świadków. Postępuje z tobą, jako z człowiekiem nie znającym praw" i w jakiemś przeczuciu powiedziałem mu, „jutro będziesz wolny. Obstawaj przy tem, że nic nie wiesz i że nic innego zeznać nie możesz. Gdyby zaś sędzia kazał przynieść ławkę i straszył ciebie jeszcze, to żądaj, aby wpisano do protokołu, inaczej nie podpiszesz". Tak też postąpił Kossowski, a gdy go odprowadzano do kaźni, zastraszył go jeszcze: — że w Bernie powie prawdę.

Uściskał mię z radości, że się nie dał złamać i zastraszyć i że podpisał protokół na kilkunastu arkuszach. co oznaczało koniec śledztwa.

Nazajutrz zawołano go do dozorcy więzienia do obrachunku, a po południu wypuszczono. Takie to były sądy tajemne. Ileżto głupców schwytano na wędkę, jak to było n. p. z kowalem z Wieliczki, któremu sam konsyliarz przez żonę obiecywał wolność natychmiast, skoro wyda tych, o których mu chodziło. Kowal dał się złapać, wyznał i w oczy drugiemu powtarzał, a gdy go pomimo to nie puszczono, ale skazano w kilka tygodni na 6 lat do Berna, rzekł do sędziego:

— „Pan konsyliarz obiecał mi wolność, a teraz tak mię osądzono surowo!".

— Ten mu na to: — „Moja rzecz mówić, a twoja słuchać lub nie".

Na taką ponętę łapano głupich.

Po wyjściu Kossowskiego przeniesiono mię w kilka dni do kaźni pod Nr. 118. Była sucha, przyjemna, bo dość widna. Tu złączyłem się z Fr. Eliaszewiczem, rafinatorem cukru z fabryki tłumackiej. Był to człowiek myślący, prawy i bardzo pracowity. Pochodził z Wołynia i był emigrantem, a wziąwszy się do pracy, przez naukę i wytrwałość doszedł do tego, że mógł żyć wygodnie, bo pobierał nietylko pensyę, ale i procenta za rafinowanie cukru. Kompania, trzymając w dzierżawie fabrykę, dawała za niego 3.000 kaucyi, aby go puszczono na wolną stopę, co jednak rząd odrzucił.

Z tym poczciwcem schodziły mi mile godziny na pogadankach i czytaniu książek, które on ambonował. Zgadzaliśmy się w zdaniach.

Ale i tu los zawistny zawichrzył, wzięto mi go i dano szlachcica z sandeckiego, M. Sk. Ten bowiem usłyszał, że umiem po francusku i wprosił się do mnie w nadziei, że w rozmowie ze mną nauczy się tego języka doskonale. Tymczasem zawiódł się szlachcic, bo chociaż umiałem się rozmówić i czytałem książki francuskie, to jednak dla braku konwersacyi nie władałem nim tak jak językiem ojczystym. W kilka dni przyłączył się drugi szlachcic z tarnowskiego, E. B., tego znów wzięła chętka uczenia się po włosku, a już trochę tłumaczył. Wprawdzie mówiłem po włosku i czytałem dzieła, ale nie tak władałem tym językiem abym mógł uczyć. Zrazu szlachcice byli grzeczni, ale potem

Ksiądz Spahn chciał mieć Prusy Zachodnie i Wschodnie wyjęte z pod tej ustawy — tak, żeby cały jej ciężar spadał tylko na Wielkopolskę.

Poseł Zaruba ze Szlązka prosił, żeby wyjąć z pod niej obwód regencyjny Opolski na Szlązku, bo przecież tam naród ubogi, nie ma czem płacić, dzieci muszą nieraz bydło wygnać na pastwisko; przecież należy mieć wzgląd na delikatność dzieci i mróz i słotę, na święta katolickie.

Windthorst mówi z własnego doświadczenia, że musiał w wieku 8 do 10 lat biegać trzy kwandranse do szkoły, rychło wstać i dopiero wieczorem obiad dostawał, przez cały dzień kontentując się zimną strawą, dzieląc się jeszcze z uboższym od siebie. Te wysokie kary zrujnować mogą ludność, która nie ma na pokarm dla dzieci ani na odzież, a jeszcze ma płacić takie kary! Zobaczycie panowie, jakie będą skutki. Ja radzę zostać przy dawniejszej procedurze.

Nic nie pomogło! Projekt rządowy, poparty przez konserwatywnych i liberalnych, przeszedł. Ustawa wejdzie w życie z dniem 1. Lipca r. bieżącego. — Baczność, rodzice!

Co do kolonizacyi niemieckiej o dobrach wykupionych od szlachty polskiej było trzecie czytanie i wybrano dwóch mówców. Przeciwnicy projektu wybrali p. Meyera z Arnswalde, zwolennicy p. Kennemanna, tego który jest patronem księdza Kubetschaka.

Meyer skarży się, że go zawsze od głosu odcinano. Nie jestem osobliwym przyjacielem Polaków i nie mam ich za zbyt spokojnych i pokój lubiących: nie lubię sposobu pisania gazet polskich, nie sympatyzuję z Kraszewskim, ale to mi nie przeszkodzi być sprawiedliwym (brawo u Polaków). Już przed 14 laty gadano tak na Polaków — lecz czekano. Jeżeli gdzie Polacy Niemców wypierali, to ci, którzy przyszli z pod Moskala; nie pochwalam tego tu projektu. Ten projekt nie prowadzi do pokoju tylko do goryczy i zaciętości. Finanse nasze są niedobre. Lepiej parcelować dominia królewskie i lasy. Zresztą projekt sprzeciwia się 99. paragrafowi konstytucyi.

Pan Kennemann twierdzi, że w W. Ks. Poznańskim istnieje „agitacya“ Polaków przeciw Niemcom. Przyjdzie kiedyś do tego, że wiele dóbr polskich nie pójdzie wcale na sprzedaż, a wtedy koloniści będą mieli trudne stanowisko, zwłaszcza wobec takich zagorzałych jak panowie Kantak i ks. dr. Stablewski.

Polacy nie mają tu prawa mówić o pogwałceniu. Centrum i wolnomyślni pomagają Polakom, aleć one zawsze sprzeciwiają się rządowi. Pokażemy im to przy wyborach; już ta trójka wolnomyślnych z Poznańskiego nie pojawi się nigdy.

Ks. dr. Stablewski. Przyjmuję zarzut, że jestem zagorzałym Polakiem. To wolno i takim się być powinno w obronie praw narodu. Nie zazdroszczę jednak panu Kennemannowi jego zimnej krwi, z jaką szczuje przeciw narodowi, w którym mu się tak dobrze powodzi i gdzie jako kolonista zebrał tak piękny majątek. Ta ustawa może mu posłużyć do zebrania jeszcze większego majątku.

Prezes. Takie osobiste zaczepki nie są tu na miejscu.

Na tem rozprawy przerwano.

✝

Wilhelm Vigier.

Donoszą ze Szwajcaryi do *Gońca Wielkopolskiego* co następuje:

W ostatni czwartek wieczorem zakończył życie w Solurze **Wilhelm Vigier**.

„Z tym mężem zamyka się tak znaczna część szwajcarsko-solurskiej historyi, że wiadomość o jego śmierci poruszyła umysły wszystkich Szwajcarów.

Pełen zdrowia aż do ostatnich dni, począł się Landamann Vigier przy końcu przeszłego tygodnia uskarzać na ból w języku. Lekarz stwierdził raka i zawyrokował, że jego szerzeniu się tylko operacya może położyć koniec. Nieboszczyk, załatwiwszy publiczne i swe prywatne interesa, pożegnawszy się z żoną i rodziną, poddał się z odwagą i rezygnałyą operacyi. Ta się udała, ale w ostatni czwartek przystąpiło do tego zapalenie płuc, które jeszcze tego samego dnia przecięło nić życia tego męża.

Vigier, obdarzony darami ducha, szczęśliwą wymową i wyższem wykształceniem, prędko doszedł najwyższych urzędów w kantonie i stanąwszy na czele rządu, był przez całe swe życie przywódzcą radykałów najczystej krwi, i jemu to oni mają do zawdzięczenia swe trzydziestoletnie panowanie.

Vigier znał lud, jak żaden inny. Z najniższym z ludu umiał się obejść, jak z sobie równym i jego słodkie słowa, słodki uśmiech i uściski rąk stały się tu przysłowiem. W latach walki kulturnej on to pierwszy w Szwajcaryi zatrąbił na alarm do boju przeciw Kościołowi katolickiemu.

Przysłowie mówi: „de mortuis nihil, nisi bene“ dla tego pomijam wszystkie przez niego Kościołowi zadane rany i wspomnę tylko z zadowoleniem, że ta sama ręka, która tak nierozmyślnie zburzyła dyecezyą bazylejską, pracowała skrzętnie nad jej odbudowaniem a nie spoczęła aż dawnego stanu jej nie przywróciła.

Osobiście Landamann Vigier był nadzwyczaj przyjacielskim, przyjemnym i wesołym towarzyszem, chociaż wskutek ciężkich strat, jakie poniósł w ostatnich czasach, głęboki smutek widocznie wyrył swe piętno na jego czole. Ledwo przed kwartałem utracił syna w młodzieńczej sile, a dwie pełne nadziei córki poprzedziły go w przeszłym roku do grobu.

Niechaj spoczywa w pokoju!“

Korespondencya powyższa zdaje się być oryginalną i od rodaka, a więc chociaż podaje dodatni rys żywota znakomitego męża rzeczypospolitej szwajcarskiej, nie możemy pojąć, że korespondent pominął milczeniem, czem ś. p. Vigier był dla Polaków, u których na długo imię tego syna z ojczyzny Tella pozostanie w drogiej pamięci i w sercach.

Wilhelm Vigier był rzeczywiście jednym z najpierwszych mężów stanu w Szwajcaryi. Wysoce wykształcony, na wskróś szlachetny i pałający sercem dla każdej idei wolności, zyskał już w młodym wieku niezwykły szacunek współobywateli, a imię jego wymawiane było z czcią w całej Szwajcaryi. Będąc Landamanem, czyli naczelnikiem kantonu Solurskiego, wywierał niepospoliży wpływ na główną radę związkową w Bernie. Kilkakrotnie był on kandydatem na prezydenta rzeczypospolitej, pomime, że sam nie uczynił nigdy ani jednego kroku, aby się na tę godność dostać. To też korzystając jego przeciwnicy polityczni z tej szlachetności, odnosili łatwo zwycięstwo. Był to mężczyzna niewielkiego, a nawet małego wzrostu, bystrego oka, ruchliwy, a obdarzony darem niepospolitego mówcy.

Gdy w r. 1864 przybyło do 2.000 rozbitków Polaków tułaczy na szwajcarską ziemię, gdzie im otwarto gościnne wrota i serca, Wilhelm Vigier witał ich również jak braci i roztoczył nad nimi opiekę, którą się tu nawet wysłowić nie da. Rywalizował poprostu z takim Walderem pułkownikiem, Prezesem komitetu polskiego a zarazem sekretarzem stanu w kantonie Zurychskim i innymi patryotami.

Jak wiadomo, Solura i wioska Zuchwyll tuż pod nią położona, były, są i będą zawsze dla Polaków świętem miejscem pielgrzymki, gdzie dokonał żywota Tadeusz Kościuszko, a gdzie w r. 1864 spotkać było można niejednego jeszcze Szwajcara, który znał i patrzał na naszego wielkiego bohatera, którego nazwisko często obok Tella wymawiał. W Zuchwyll stoi na cmentarzu wiejskiego kościółka pomnik, w którym umieszczono wnętrzności Naczelnika. Otóż w rocznicę śmierci dnia 15. Października 1864 r. postanowili tułacze odbyć pielgrzymkę do tego pomnika i dzień ten jak najuroczyściej obchodzić. Ze wszystkich kantonów podążyła nasza wiarz wraz z kobietami i dziatwą, których losem stało się tułactwo. W oznaczonym dniu kilka setek Polaków uszykowawszy się pod rozwiniętymi sztandarami narodowymi, a na czele z najdzielniejszymi bojownikami z 1863 r., pomaszerowali do Zuchwyll. Jakież jednak było ich zdziwienia i radość, gdy ich na miejscu powitali na tysiące zebrani Szwajcarzy, gdy ich sztandary chyliły się ze czcią przed naszymi, a muzyka kantonu zabrzmiała świętymi dla nas hymnami.

Na znak dany zrobiła się cisza, a naprzód wystąpił niepozornej postaci dzielny syn wolnej Szwajcaryi. Był to Wilhelm Vigier, który witając w imieniu całego narodu szwajcarskiego nieszczęśliwych synów Polski, z każdą chwilą, z każdem słowem, które z ust jego wyszło, rósł w naszych oczach jakby w olbrzyma i widomego nieodrodnego potomka bohaterów Helwecyi. Znajomość dziejów Polski, mianowicie od pierwszego rozbioru aż po najnowsze czasy, zdrowy pogląd na naszą niedolę i na naszą przyszłość, potęgowały tę wymowę, która każdego do głębi duszy przejmowała. Gdy zaś wezwał do duchowego braterstwa swoich współobywateli, i ci pierwsi nam się w ramiona rzucali, chwila była tak wzniosła, na którą słów braknie, a braterstwo to nie skończyło się na frazesach i słowach, bo nie było ani jednego

---

szczególnie pusty B., człowiek bez czci i wiary zaczął mi ubliżać, a nawet poniewierać stan kapłański. Z tych powodów były pomiędzy nami starcia, aż w końcu byłem zmuszony prosić o przesiedlenie. Wypadek ten, jakkolwiek na pozór małoznaczny i zwykły, pozostawił po dziś dzień w mej duszy przykre wrażenie, bo wtenczas można było poznać ten wrzekomy patryotyzm. Szlachta dostawszy się do kozy, aczkolwiek byli pomiędzy nią i ludzie dziwnie zacni, szlachetni i ofiarni, to większość przedstawiała widok smutny, gdyż utworzywszy w więzieniu koteryę opartą na dystynkcyi rodów staroszlacheckich, mając w pamięci krzesła senatorskie, buławy itp., nie miała pojęcia o równości praw człowieka, o zasadach demokratycznych nie chciała słyszeć, a obok tego dawała tysiące dowodów skarłowacenia ducha. Płakała, narzekała na całą sprawę, przeklinała ją nawet i całe wzięcie było tego rodzaju, że wzbudzało jeżeli nie pogardę, to przynajmniej politowanie. „Miserable et abominable!“ I tacy to ludzie chcieli zbawić ojczyznę! Wolałem więc z wygodnej kaźni ustąpić, aniżeli się ścierać z takimi Polakami.

Dano mię do kolegi z tarnowskiej dyecezyi ks. Kleina, którego wsadzono do człowieka podłego udającego waryata, aby jako kapłan wpływał na jego umysł. Ale byłby i tu przy nim zwaryował, gdybym się nie był do niego dostał. Ten niby obłąkany, Franciszek Wolański z Krosna, będąc w szkołach wyższych w Przemyślu, był zapalonym miłością Ojczyzny młodzieńcem i bardzo czynnym propagatorem, za co ze szkół wypędzony tułał się po różnych miejscach. A gdy go organizacya narodowego powstania do czynu powołała w r. 1845, jako komisarza rządu narodowego, organizował i wtajemniczał innych w sprawę. Lecz gdy przyszedł do odpowiedzialności złamany na duchu, plótł przed sądami śledczymi jak Piekarski na mękach i wciągał w swe sieci nawet takich, których nie znał, ale tylko słyszał, że Polskę kochają. Następstwem tego były wyrzuty sumienia i pewien stan obłąkania. Sądy śledcze schlebiały mu i wyzyskiwały od niego stosy protokołów, jego zeznaniami zabazgranych. Pozwalano mu za tę zdradę niektórych swobód więziennych, których drudzy byli pozbawieni, jako to piór, papieru, świec itp. Gdy mię do takiego towarzystwa przymuszono, usiłowaliśmy z ks. Kleinem zbijać jego zdania abnegacyi i zwątpienia w sprawę polską, twierdząc: że przez rzeź Szeli, ani dawniejszych hajdamaków sprawa Polski bynajmniej nie upadła; że jeszcze nie przyszła godzina, bo brak sił narodowych i fizycznych. Lecz ten gorący przedtem patryota z wyrazem najwstrętniejszej renegacyi twierdził, żeśmy się powinni zaamalgamować, wsiąknąć, i tak dopiero przeistoczeni kiedyś powstać. Plótł brednie, na co my się nie zgadzali. Przy tych rozprawach i dowodzeniach wpadał nasz Judasz w zapał, bluźnił na sprawę i na tych, co ruch wywołali, obrażając nas w każdem słowie. Do tego nie mogąc spać po nocach, bo nas nieustannie budził i łomotał chodząc po kaźni, gdy mimo przedstawienia nie mogliśmy u niego dostąpić żadnej grzeczności, prosiliśmy o inną kaźnię, w której doczekaliśmy się pamiętnego dnia 20. Marca 1848. r, on zaś obłąkaniec dostał jakiegoś ostrego towarzysza, któremu musiał ulegać. Po wyjściu z więzienia obłąkaniec znienawidzony od patryotów rzucił się w ramiona Niemców i dostał jakiś urząd.

Muszę tu nadmienić, że od przybycia Stadiona na namiestnika kraju, wielce się polepszył los więziennych ofiar. Polityka jego pozwoliła nam światła w kaźniach, fajek, wizyt, poznoszono kosze, dozwolono nawet grać w karty i sprowadzać trunki. Zakazano samotnego więzienia. Stadion pozwolił odwiedzać się wzajemnie więźniom w kaźniach. Wglądano w naszą strawę, którą znacznie polepszono. Stadion przychodził do więzienia i dawał posłuchania. Szlachta z tego powodu zaczęła się unosić nad jego „szlachetnością“, ja i wiele innych, inaczejśmy się jednakowoż zapatrywali. Bo proszę się zastanowić, że to się działo po wyrokach śmierci, a wywożenie do Spielbergu i Kufsteinu Tarnowszczyków, Narajowczyków, Wieliczanów, Lwowian, — szło przytem bez przerwy. Wyroki surowe na 20, 18, 15, 12. lat, były dawane niby w drodze łaski, zamieniane za śmierć szubieniczną. Codzień dudniało od kucia więźniów, brzęczały łańcuchy i kajdany, jęk matek, żon i dzieci [illegible]jał się o mury więzienne.

tułacza na szwajcarskiej ziemi, któryby nie miał gdzie schronić głowy i ułożył się do snu głodny.

Wilhelm Vigier w każdej uroczystości narodowej polskiej brał udział żywy, serdeczny jak zawsze, a tułacze nasi udawali się do niego w każdej potrzebie i zawsze znajdowali pomoc lub radę. W domu jego i w rodzinie przepędzaliśmy najmilsze chwile.

Myli się korespondent, mówiąc o Wilhelmie Vigier, że ten prowadził kulturkampf przeciw kościołowi katolickiemu w Solurze i Kantonie. Sprawa ta patrząc na nią z bliska, inaczej się zupełnie przedstawiała, bo to nie była walka z kościołem katolickim, ale z nurtowaniem Jezuitów i ich popleczników, których liczyli w niektórych starych rodach patrycyuszów tamtejszych i pomimo wypędzenia Jezuitów z Fryburga i Szwajcaryi, ci nie poprzestali pracować, aby pod jakiemibądź postaciami znowu zapanować nad Szwajcaryą. Wilhelm Vigier był Kalwinem, ale daleki od kulturkampfa na wzór pruskiego. Dowodem tego była cześć, jaką mieli dla niego kapłani w kantonie solurskim i w całej Szwajcaryi.

Rok 1866 przedstawiał się groźno dla bezpieczeństwa Szwajcaryi, podczas tej wojny; a jeżeli ta jedyna rzeczpospolita w Europie pozostała w spokoju, to zawdzięczyć ma jedynie nagłemu zakończeniu wojny. Wiadomem było, że Napoleon III. ostrzył sobie bardzo zęby na francuskie kantony w Szwajcaryi, a ostrzyli sobie tak samo i inni sąsiedzi. To też postanowił Napoleon korzystać w r. 1866 z jakiejkolwiek okoliczności, gdyby się takowa nadarzyła, aby Szwajcaryę sprowadzić za jakąbądź cenę ze stanowiska ścisłej neutralności. Książę Napoleon, który zawsze kokietował ze Szwajcaryą i z Polakami na tułactwie, rojąc sobie jakieś plany, udał się z niemi do ś. p. Jenerała Mierosławskiego, usiłując go do nich nakłonić. Mierosławski zrozumiawszy dobrze o co rzecz idzie, nie dał natychmiastowej decyzyi, ale zawiadomił rząd szwajcarski, co mu grozi.

Pośrednikiem w tej sprawie był właśnie Landaman Wlhelm Vigier. Mierosławski radził wszelkie środki, jakieby umożebniły Szwajcaryi zachowanie swej neutralności — ale uzbrojonej pod zęby, jak się to zwykło mówić, i ciche niezwłoczne przygotowanie na wszelkio wypadki. Gdy sie jednak rozchodziło o uzdolnionego wodza, Vigier zaproponował Mierosławskiego, jako szefa sztabu głównego. Oprócz tego najzdolniejsza młodzież polska, czyli żołnierze bojów w Polsce z r. 1863 i 1864 mieli być wcieleni cichaczem, a nawet pod szwajcarskiemi nazwiskami do szkoły artyleryi w Tuhn, a w danym razie inni tułacze mieli być również w różnych stopniach porozdzielani po oddziałach. Porozumienia i przygotowania szły bardzo szybko, bo nie można było wiedzieć, co następny dzień przyniesie. Vigier był duszą wszystkiego. Udzielono następnie pełnomocnictwa jednemu ze znakomitych obywateli szwajcarskich, który ostatecznie miał zawrzeć umowę z Mierosławskim.

Konferencya ta miała miejsce w mieszkaniu Mierosławskiego przy ulicy St.-Etienne du Monte, dokąd piszący wysłany z Szwajcaryi, — delegata szwajcarskiego doprowadził. — Działo się to około godziny 3. po południu, gdy piszący wyszedł od Mierosławskiego, udając się na bulwar St.-Michel, gdy w kilka minut później zagrzmiały ze wszech stron okrzyki: „Vive la France! — Vive l'Empereur“! I z równą szybkością zaczęto zatykać chorągwie narodowe na znak radości. Do Tiulleriów przyszła co tylko wiadomość o oddaniu Wenecyi przez Austryaków, a więc — i wojna skończona.

Udałem się natychmiast do Mierosławskiego, zapukałem, otworzył i opowiedziałem mu w kilku słowach co zaszło. Naturalnie, konferencya się skończyła, jako zupełnie zbyteczna. A gdy się Mierosławski pożegnał z zacnym delegatem szwajcarskim, widocznem było, że znowu jeden z jego planów, rzucający promyk nadziei na losy Polski, obrócił się w niwecz i prysnął jak bańka mydlana. To też wyrzekł:

— „Ha! nie mamy szczęścia, wszystko się łamie; ale cóż robić, taka nasza dola, nie wolno nam zakładać rąk, ale wytrwać do końca, tak jak Bóg i Ojczyzna nakazują“.

Jakie były plany i widoki Mierosławskiego, nie tu dziś miejsce o tem pisać.

Wilhelw Vigier był jak nam wiadomo, do skonu najserdeczniejszym przyjacielem Polaków i idei polskiej, bo to była wielce szlachetna dusza, a imię jego zostanie wyryte na jednej z kart dziejów Helwecyi.

Cześć jego pamięci!

J. N. z O. G.

Do historyi wyboru
ks. Dindera na Arcybiskupa.

Skoro tylko rozeszła się wiadomośc, że papież Leon XIII. za obiecaną zmianę praw majowych uciskających kościół, zgodził się na proponowanego mu przez Bismarka kandydata Niemca ks. Dindera na arcybiskupa Gnieźnieńsko-Poznańskiego, zaraz szlachetniejsi Polacy, gorliwi obrońcy narodowości polskiej i wolności sumienia, wystosowali adres do papieża, prosząc go, ażeby nie osadzał na stolicy św. Wojciecha Niemca.

Adres napisany jest z wielką godnością, lecz z należytem poszanowaniem dla Ojca św. w wyrazach do głębi duszę poruszających. Ważny to dokument który historya z chlubą wspominać będzie.

Przeciwko temu adresowi kazał kardynał Ledóchowski wystąpić *Kurjerowi Poznańskiemu* bardzo energicznie, skutkiem bowiem namów byłego arcybiskupa kolońskiego ks. Melchersa stał się gorliwym rzecznikiem ks. Dindera, wychodząc z tej błędnej zasady, że polskość należy poświęcić dla wielkości kościoła.

Za *Kurjerem Poznańskim* poszły jak stado owiec inne pisma, mianowicie: *Dziennik Poznański, Gazeta Toruńska, Czas, Gazeta Narodowa i Dziennik Polski* i nieznając treści adresu, poczęły pisać, ażeby go nie posyłać, bo to warcholstwo, bo Ojcu św. utrudni się przezeń stanowisko, bo naród nikogo nie upoważnił i temu podobne niedorzeczności.

Patryoci jednak nie dali się obałamucić krótkowidzącym redaktorom i wysłali adres do Rzymu tak z Poznańskiego jak z Galicyi z licznymi podpisami, bez względu na to, czy głos ich będzie lub nie będzie wysłuchany.

Wykonali więc obowiązek narodowy i za to chwała im się należy.

Odpowiedzialnośź za to, co nastąpi, nie na nich spadnie, lecz na tych, co ulękli się Bismarka, obałamucili papieża i narodowi nawet prawa proszenia odmówili.

Papież Leon XIII. polecił kardynałowi Ledóchowskiemu wybadać jak Polacy są usposobieni względem kandydatury ks. Dindera.

Ks. Ledóchowski zaś zapewnił go najbardziej stanowczo, „że jego dawne owieczki z radością przyjmą ten wybór“. Jednocześnie prawie napisał do kapituły poznańskiej, że wybór ks. Dindera już stanowczo zdecydowany.

Papież polegając na zapewnianiu ks. Ledóchowskiego w rzeczy samej, zdecydował się podpisać (3. Marca) nominacyę ks. Dindera, którą kardynał jako sekretarz brewów wysłał czemprędzej do Królewca.

Dawniej kapituły wybierały biskupów. Obecnie z wielką jak to widzimy szkodą kościoła dawny ten liberalny zwyczaj i prawo kościelne poszło w niepamięć.

Kapituła poznańska nawet o zdanie, co do kandydatury ks. Dindera, nie była zapytywaną.

Będzie to więc arcybiskup narzucony.

Papież miał go prekonizować na konsystorzu 15. Marca. Konsystorz ten odroczył jednak dla niewiadomych powodów.

Kurjer Poznański pisze, że konsekracya ks. Dindera ma nastąpić we Fromborku (Frauenburgu) 4. Kwietnia. Musi więc mieć pewność co do wcześniejszej daty zebrania konsystorza w Rzymie dla prekonizowania ks. Dindera.

Smutny to wypadek!

W całej Polsce obudził wielkie niezadowolenie i zachwiał ufnością do papieża już poprzednio bardzo osłabioną zachwianiem się milczącem Leona XIII. w sprawie Unitów chełmskich!

Być może, że ks. Dinder okaże się godnym swojego stanowiska i nie da się użyć do haniebnej czynności niemczenia Polaków przez kościół.

Wszakże dopóki czyny za nim nie przemówią, nie możemy zataić obawy i niezaufania, które w nas budzi sposób, w jaki dochodzi do stanowiska arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego.

Ledóchowski był także kandydatem Bismarka, podobnie jak ks. Dinder.

Być więc może, że i ks. Dinder nie okaże się jak się nie okazał ks. Ledóchowski powolnem narzędziem do zamienienia kościołów wielkopolskich na zakłady wynaradawiania.

Wszakże niebezpieczeństwo jest wielkie.

Polacy czuwajcie!

Nie słuchajcie tych, co wam radzą bierność i gnuśną uległość, lecz szukajcie sposobów obrony!

Adres Wielkopolskiego ludu
do Papieża Leona XIII.

Ojcze Święty!

My, niżej podpisani Katolicy, Polacy Archidyecezyi Gnieznieńsko Poznańskiej, zanosimy do stóp tronu Twojego Apostolskiego najpokorniejszą a zarazem najusilniejszą prośbę, abyś niedozwolił zasiąść na Stolicy Prymasów naszych księdzu obcej narodowości.

Ojcze Swięty! nie racz niszczyć w nas tej synowskiej ufności, jaką nie tylko w miłosierdziu Bożem ale i w łaskawości Twojej dla naszego tylu nieszczęściami doświadczanego narodu pokładamy. Narodowość i Wiara zrosły się w sumieniu Polaków w jeden nierozdzielny zakon. Rozdzierać tych dwóch pojęć bez obrazy i bez szkody dla obojga nie można.

Od wieku już przesło znosi Naród Polsk najróżniejsze i najdotkliwsze klęski społeczne; jedynie tą mocą jaką czerpie z jedności języka i wiary, znosi w uczuciu nieprzerwanej łączności swojej z Opo-

---

Przyszła kolej i na mnie, sprowadzono mię do kancelaryi, a p. Smutny przeczytał wyrok: za czynny udział w powstaniu i otworzenie wolnego przechodu dla insurgentów, skazany zostałem na śmierć, a w drodze łaski na 15 lat więzienia.

Przyjąłem zimno ten wyrok, nie odpowiedziawszy ani jednego słowa. Wyszedłem z kancelaryi milcząc. Czekałem z dnia na dzień, rychło mię okują i wywiozą. Kolega mój ks. Eugeniusz Klein odebrał podobny wyrok i tak obaj oddawszy się Bogu, wyczekiwaliśmy godziny wywozu do Spielbergu, dokąd już przeszło 150 wywieziono. Przyszłość nasza czarnym kirem zasłoniona, nie dopuszczała tej myśli, że kiedyś i to wkrótce powrócimy do ołtarza do służenia Bogu i ojczyznie.

Rok 1848.

Smutny to był i okropny przeciąg czasu od rzezi tarnowskiej, gdowskiej, horożańskiej, czyli lata 1847 i 1848. Ale nietylko w Galicyi, bo od Prosny po Niemen i Dniepr, od Bałtyku po Czarne morze, pokrytą była Polska czarnym kirem. W Galicyi chłopstwo przedstawiało straszny widok. Dręczyło go sumienie, a aby takowe zagłuszyć, piło bez upamiętania. Ci, którzy dowodzili poprzednio bandami, podjudzali chłopstwo, jeździli po kraju, rozbijali spichlerze i hojną miarą rozdawali zboże między lud, który jeszcze nie obmył zbroczonych rąk od mordów, a co jeszcze smutniejsze, że się mięszano nawet do spowiedzi świętej, bo gdy kapłani odmawiali zbójom absolucyi w myśl klątwy przezacnego biskupa Wojtarowicza, który kazał pozamykać zrabowane i pogwałcone kościoły, otwierano te kościoły, podburzając przeciw biskupowi. Przysłano Jezuitów do otwierania tych kościołów, którzy spowiadali i dawali absolucyę. Księdzu Lechowi przypięto order, płacono sowicie za donosy. Smutno było w polskiej krainie. Sędziwe matrony, zacne żony, przyobleczone w kir żałoby, snuły stę po miastach jakby cienie, tak samo sieroty po pomordowanych lub uwięzionych tułały się w nędzy, bo pobyt na wsi był niebezpieczny i nie do zniesienia, gdy straszne obrazy mordów stały przed oczami. Popalone dwory, z zamurowanemi oknami lub deskami pozabijanemi, świadczyły o co przebytej grozie, o strasznych wypadkach mordów, rabunku, bezczeszczeniu świątyń i niewiast. Były to okropne świadki.

Podczas rabacyi, mordów i rabunku odznaczyli się szczególniej jako przewódzcy band: Chomiński, Zminkowski, Trojnalski, Józef Janiszewski, Fintowski Romuald, Trojnalski Michał, Krach Heinrich, Greil Karol, Kempen Roman, Ehrlich Edward. Jak rabowano, to dowodzi wypadek, że gdy żona Zminkowskiego ubrawszy się w zrabowany kosztowny szal, spacerowała w nim po Tarnowie, obywatelka a właścicielka tego szalu zerwała jej go na ulicy, a Zminkowska się o to nie upominała.

W r. 1847 powstał głód okropny, połączony z tyfusem. Wymarło kilka tysięcy, a był głód taki mianowicie po tych wsiach, które rabowały, iż były wypadki, że rodzice dzieci zarzynali, gotowali i jedli. Była to oczywista kara Boska. Lud mazurski dotknięty taką kleską, rozchodził się za robotą, lecz wszędzie był odpychany, a więc wracał do domów, padał na drogach i umierał. Wielu takich hersztów, którzy się zmazali krwią bratnią, prowadziło żywot straszny, gdyż nawet we śnie dręczyły ich mary pomordowanych, a więc wskazywani palcami, piętnowani moralnie, uciekali w lasy; a gdy ich i tam prześladowały widma, kończyli żywot samobójstwem, wieszając się lub topiąc w nurtach Wisły.

Polacy, którzy nie zostali zamknięci, zamykali się w kółkach rodzinnych i znikła wszelka wesołość. Posępność oblekła twarze. Cma szpiegów osiadła po miastach i wsiach.

W katedrze przemyskiej kanonik Hoppe niemieckiego biurokraty syn, nie wahał się dziękować chłopom za te czyny bohaterskie, znieważał Polaków i rzucał na nich klątwę. Kirchenberger, rektor, ten wprost apostołował młodzieży duchownej, aby nie czytała po polsku, nie myślała o Polsce, o ojczyznie, gdyż ksiądz nie ma ojczyzny, a tylko winnicę Pańską. Niechaj nikogo nie zna. Owczesny ks. biskup Wierzchlejski przy święceniu młodych kapłanów nakazywał również zapomnienie o Polsce, wyparcie się Ojczyzny ziemskiej, a myślenie tylko o niebieskiej. Konsystorz zaczął po niemiecku wydawać rozkazy. Hoppe wydawał szematyzmy po

ką Piotrową, znosi zachęcony do „wytrwałości, cierpliwości i męztwa“ tak przez poprzedników Twoich jako i przez Ciebie Ojcze Święty!

Atoli przybycie do nas Arcypasterza niemieckiej narodowości, musiałoby napełnić nas najwyższą obawą o utratę obojga tych dóbr, tak Narodowości jako i Wiary.

Jeżeli Tobie, Ojcze Święty, niepodobno było oprzeć się naciskowi politycznych wpływów tak, że zdecydowałeś się ostatecznie na myśl przysłania nam Arcybiskupa Niemca, to o ileż bardziej wpływowi rządu podlegać będzie musiał poddany tegoż rządu Arcybiskup?

Czyliż nie należy się słusznie obawiać, że pod naciskiem takich samych politycznych względów zasiędą zwolna sami niemieccy kapłani, w kapitułach, w konsystorzach, po dekanatach a w końcu i probostwach? A jeżeli ci kapłani niemieccy będą gorliwymi patryotami niemieckimi, czy też nie zechcą patryotyzmu swego i w owieczki swoje zaszczepiać? Stać by się tedy i u nas mogło to samo, co się już stało w dyecezjach sąsiednich Warmińskiej, Chełmińskiej i Wrocławskiej, że duchowni pasterze stali się jawnymi organizatorami ludu polskiego za pomocą religii i że nawet publicznie w gazetach i sejmach pruskich z tego posłannictwa się szczycą.

Co gorsza, za wyparciem języka polskiego nastąpić by musiało i poszkodowanie Wiary świętej katolickiej. Już dziś przy polskich kapłanach, przy polskiej ludności, w niektórych szkołach tak symultannych jak i katolickich, wychowują młodzież katolicką nauczyciele wyznania protestanckiego. Już dziś przy wydaleniu 40.000 Polaków, powiedziano w sejmie pruskim, że stało się to głównie dla tego, żeby w szkołach pozbyć się wydatków na naukę religii katolickiej, cóż będzie wtedy, gdy zginie najgłówniejsza obecnie różnica dwóch wyznań tj. język macierzyński polski? Te wszystkie następstwa długoletniem pouczeni doświadczeniem przewidując, my niżej podpisani Polacy Katolicy błagamy Cię Ojcze Święty, żebyś w Archidyecezyach naszych pozostawić raczył stan dotychczasowy aż do chwili, w której Opatrzność dozwoli Ci szczęśliwie nas znowu takim Arcypasterzem obdarzyć, który by był z krwi i kości naszych, gdyż tylko taki zrozumieć może potrzeby nasze tak religijne jak i społeczno-narodowe.

(Adres ten był wysłany do Rzymu w Marcu, zaopatrzony bardzo licznymi podpisami włościan i rzemieślników).

25. letnia rocznica śmierci TARASA SZEWCZENKI.

Dnia 25. marca, odbyła się wysoce wzniosła uroczystość pamiątkowa, śmierci znakomitego lirnika ruskiego Tarasa Szewczenki a był to obchód jubileuszowy, bo 25cio letnia rocznica śmierci poety.

Zbytecznem jest może nawet nadmieniać, że inicyatywa do tego obchodu wyszła wyłącznie od stronnictwa Narodowców ruskich; nie ujrzałeś tam ani jednego moskalofila, czyli kacapa jak Rusini nazywają.

Obchód ten należał rzeczywiście do najwspanialszych i najpodnioślejszych, jakie się w naszej erze we Lwowie odbywały. Wielka sala Domu narodnego, była literalnie natłoczoną; wielu Rusinów Narodowców przybyło wraz z rodzinami z prowincyi, a kto wstępował do sali, to z takim nastrojem ducha, jakby do świątyni. Widzieliśmy młodzież i dziewice, ubrane w malownicze stroje narodowe, a takie to było zuchowate, że aż miło było patrzeć. W głębi sali dominowało nad estradą popiersie Tarasa, otoczone zielenią, jakby gajem ukraińskim.

Uroczystość rozpoczął ks. Dr. Emil Ogonowski, który w świetnem przemówieniu, a pomimo spokoju pełnem siły, z prawdziwem kapłańskiem namaszczeniem patryotycznem, rozwinął żywot tego lirnika ruskiego i jego ducha. Nieomieszkał on uwydatnić w tym żywocie, wskazując na fakta męczeństwa Tarasa, że idea ruska, a rosyjska, nie mogą nigdy nic mieć wspólnego z sobą, a Rusini winni jedynie stać na podstawach odrębności narodowej. Stanowisko Rusi do Moskwy i wieczysty rozdział, były wyraźnie zaznaczone.

Grzmoty oklasków nie miały końca, a w niejednem oku widziałeś łzę, którą głos ten patryotyczny wywołał. Następnie odegraną została uwertura Wierzbickiego, tego zaweześnie zgasłego kompozytora ruskiego, który w innych warunkach, mógł być drugim Moniuszką. Uwertura ta trafiała każdym tonem do duszy, a ustępy osnute na melodyach ruskich, były wprost porywające.

Chór męzki „Lutni“ odśpiewał „Zazulę“ Niżczyńskiego, przy akompaniamencie fortepianu. Pieśń ta wypadła świetnie i jeszcze więcej rozkwiliła duszę.

Młodziutka dziewica (panna Baczyńska ze Stryja) deklamowała „Topolę“ Szewczenki. Jestto jeden z najpiękniejszych utworów zmarłego poety i niełatwy do wygłoszenia; trzeba mieć rutynę i dobrze pracować, aby odpowiedzieć zadaniu. Pomimo to młoda i pełna wdzięku rusałeczka, wygłosiła tę poezyę z takim wdziękiem, siłą i uczuciem, jakichby jej niejedna artystka pozazdrościć mogła, chociaż p. Baczyńska występowała po raz pierwszy na estradzie przed tak liczną i doborową publicznością, to też znowu oklaskom nie było końca.

„Modlitwa“ — jestto wyjątek z opery „Kupało“, którą napisał sympatyczny i dzielny syn Rusi Anatol Wachnianin. Utwór ten wykonany był przez chóry mięszane „Lutni“ i orkiestrę. Kompozycya prawdziwie wzniosła, poważna i podnosząca ducha. Niebyło też końca wywoływaniu ukochanego i powszechnie szanowanego kompozytora.

Panna Bażańska z wielkim sukcesem odegrała na fortepianie, uwerturę Łysenki „Z nocy Bożego Narodzenia“.

„Chór bojowy“ Bażańskiego i „Nad Prutem“ Worobkiewicza, odśpiewała Lutnia, elektryzując jak zawsze słuchaczy. Solo tenorowe z „Marty“ Flottowa, odśpiewał Guszalewicz. którego głos przy dalszem kształceniu wiele obiecuje.

Na zakończenie, wykonał chór mięszany wraz z orkiestrą, Łysenki „Bijut Poroby“. Wykonanie to wypadło świetnie w całem tego słowa znaczeniu i stanowiło piękną koronę tego wieczoru! Ale jakżeż mogło być inaczej, gdy jeszcze raz powiemy, że to były chóry „Lutni“, a dyrygowane przez p. Cetwińskiego, którego wraz z Towarzystwem „Lutni“, mogą nam pierwsze stolice krajów pozazdrościć.

Ta serdeczna drużyna lutnistów, wzięła już dawno szturmem wszystkie serca współobywateli; tam gdzie ona wystąpi, krew żywiej w żyłach krąży, serce silniej bije i mimowoli szukają się, łączą bratnie dłonie.

Tak się zakończyła pamiątkowa uroczystość Tarasa Szewczeńki, która echem płynie po ziemi ruskiej i rozbudza szlachetne ideały ducha. Smutny był tylko jeden widok, a to ten, że zazbyt mała liczba przybyła na to święto braci Polaków, a których Rusini z całą szczerością jako gości witali.

Po tym obchodzie, zebrano się w pięknej i obszernej restauracyi Kiselki, która na ten wieczór tylko tych gości przyjmowała. A zgromadzili się tam nietylko mężczyźni, ale i płeć piękna. Biesiada ta, jeżeli ją tak nazwać można, odznaczała się przedewszystkiem skromnością, umiarkowaniem prawdziwie budującem, którebyśmy wszystkim tego rodzaju biesiadom za wzór postawili. A pomimo to ileż tam było ciepła, ile serdeczności w tym braterskim wieńcu, który przedstawiał jakby jedną rodzinę przy jednem ognisku zebraną. Od czasu do czasu słyszałeś tylko więcej gromkie a poważne: — „My Rusyny, my ne pijdem w kacapy! My bidnii ale czesty naszoji ne shańbymo!“. W interwałach odzywała się znów „Lutnia“ i rezpromieniała na nowo oblicza. A było i tam kilkunastu zaproszonych Lachów, nie tylko ze Lwowa, ale znalazł się krakowiak, wielkopolanin i koroniarz. Ci na widok tego silnego łańcucha bratniego, z pośród którego nie padło ani jedno czcze słowo, byli do tego stopnia rozrzewnieni, że się niewstydzili nawet łzy w oku i wynieśli to błogie uczucie, że odetchnęli błogą chwilkę w gronie serdecznych druhów. Widocznem było, że nad taką harmonią dusz łaska Boża czuwa i nie opuści ich w każdej ciężkiej potrzebie.

Spekulacya na patryotyzm.

Przyznać winien każdy, że w usiłowaniach naszego duchowego odrodzenia narodowego, czyni się wiele, chociaż wprawdzie w niektórych tylko kierunkach. Nie chcąc pozostać wstecz po za innymi narodami, cieszy nas niewymownie i dumni jesteśmy z tego, jeżeli jednostka nosząca imię polskie, zyskuje na szerszej arenie uznanie i podziw. Otóż i my podnosimy w pewnych wypadkach ten podziw i uwielbienie nieomal do zenitu, ale przyznajemy się do grzechu, że to czynimy tylko w pewnym kierunku, mianowicie tam, gdy podnieta oddziaływa szczególnie na zmysły, albo też ambicya, niweczące wszelkie zasady umiarkowania, pcha nas do szału, do bałwochwalstwa. Wprawdzie ludzie są wszędzie ludźmi, ale należałoby przecież rozważyć, że nam nie wolno się wystawiać na śmieszność, a jeszcze mniej pozwolić, aby jakaś spekulacya oblizcająca wrzekome porywy patryotyczne, obdzierała nas z całą bezczelnością ze skóry. Tak się jednak niestety dzieje, a to jest dowodem, że nasze wykształcenie artystyczne, pojęcie piękna i sztuki jest jeszcze nader względne.

Porównajmy chociażby zamiłowanie do sztuk pięknych jak malarstwo i rzeźbiarstwo, które pomimo, że stanęło na świetnych wyżynach nietylko wymogów zwykłych, ale mistrzowstwa w tworzeniu dzieł wiekowych, — czy nas ta chwała narodowa tak samo rozgrzewa, jak chwilowe objawy, a nie za wiele powiemy, że to są jednodniówki, po których w kilka dziesiątków lat co najwyżej zaledwie wspo-

niemiecku i odezwy, słowem, gdyby ten stan trwał był dłużej, dziś trudnoby było usłyszeć chociaż jednego słowa w rodzinnym języku. Któż wtenczas mógł przewidzieć, że tak prędko zaświeci słońce wolności, a to słońce zajaśniało wielkim blaskiem 23. lutego w Paryżu, a ztamtąd rozlały się echa na Berlin, Wiedeń i całe Niemcy. Ruch rewolucyjny w Wiedniu wydał tętno życia i we Lwowie. Tu lud również zażądał konstytucyi i amnestyi dla więźniów stanu. Dobroduszny cesarz Ferdynand przyzwolił na wszystko co naród żądał, zabronił strzelać do ludu, ogłosił konstytucyę i amnestyę dla wszystkich więźniów. Metternich ratował się ucieczką. Biurokracya zadrżała; działo się to 18. marca w Wiedniu, a we Lwowie 19. w dzień św. Józefa po południu.

Byliśmy właśnie z wizytą w sąsiedniej kaźni u Nikodema Przestrzelskiego (który zginął na barykadach 2. listopada 1848 r.) i u ks. Zgrzebnego, kiedy usłyszeliśmy jakiś ruch niezwykły, szczęk broni, okrzyki i jakieś częste odmykanie kaźni. Nie wiedząc o niczem, pytamy się jednookiego Serenika, co to ma znaczyć? — Ten odpowiada, że arcyksiążę Wilhelm przyjechał, a odmykanie kaźni to wizyty, czemuśmy uwierzyli. Aż tu za chwilę ten zgiełk, wrzask zbliża się ku więzieniom. Nadsłuchujemy, a patrząc po nad kosze, widzimy tłum ludu i żydów, którzy opanowali wzgórza. Kobiety powiewają ku nam chustkami, a lud woła: — „Niech żyje konstytucya!“ „Niech żyje cesarz, król Polski!“ Kobiety znowu wołają: „Bracia! jesteście wolni, amnestya!“

Jakby iskra elektryczna przeszła przez nas. Każdy zadrżał na wskroś. Szał nas jakiś opanowywał, radość odejmowała mowę i po dłuższej chwili krzyknęliśmy dopiero: „Wiwat konstytucya! Wiwat Ferdynand król nasz!“

Pootwierano kaźnie. Cóż to były za powitania, gdyśmy się jeden drugiemu rzucali w uściski i nawzajem oglądali. Usta drżały, z ócz tryskały łzy radości. Nie jeden chwytał się za czoło i tarł, czy nie śpi. Już wielu widziało się z najdroższemi osobami u kerkermeistra, ale wypuścić nas jeszcze nie chciano.

Wieczorem gdyśmy właśnie odmawiali pacierze, słyszymy trzask drzwi i odmykanie kłódek. Było to już około godziny 8. Aż tu gubernator Stadion, prezydent sądów, prezes Stanów i inni wstępują, objawiają nam wolność i amnestyę z dodatkiem, że jeszcze nocować musimy w więzieniu, bo pod noc nie mogą nas wypuścić. Uchyleniem głowy podziękowaliśmy tej delegacyi, a gdy odeszła, pootwierano natychmiast kaźnie i wszyscy razem do 120 osób zebraliśmy się w największej, i tu wśród wesołych pogadanek i śpiewów spędziliśmy noc całą, wyglądając niecierpliwie dnia wybawienia po dwuletniej niewoli.

Pamiętny na całe przyszłe życie będzie dzień 20. Marca 1848 r., kiedy z brzaskiem dnia wyszliśmy na dziedziniec bez straży, rozkuci, widząc tłumy ludu oblegającego wzgórki i w okrzykach radości witającego wyzwolonych więźniów.

Żołnierze straż trzymający fraternizowali już z nami, mówiąc, a byli to Czesi: — „No, i sem wczera słyszel, że Polacy a Czesi to sem bratrzi,“ i życzyli nam wolności. Gdyśmy tak na dziedzińcu stali, zajeżdżały fiakry i obywatele lwowscy za rewersem odbierali więźniów.

My duchowni i klasa uboższa zostaliśmy sami. Nikt po nas nie przyjeżdżał, aż dopiero później zjawiło się kilku księży i poczciwych mieszczan lwowskich z biedniejszego stanu, którzy nas za rewersem wyprowadzili. Gdym przez księdza ormiańskiego Kajetanowicza i krawca Wieczyńskiego prowadzony za bramę więzienia wyszedł, wzniósł się powszechny ludu okrzyk; a gdy lud poznał, że mimo brody, której w kaźni nie dawałem golić, jestem kapłanem, obległ mię formalnie ten lud poczciwy, oraz i innych księży, całując po rękach i prosząc o błogosławieństwo. Na prośbę naszą zaprowadzono nas do klasztoru ks. Dominikanów, gdzie nas lubiony powszechnie przezacny ks. Ulryjewicz przeor, przyjął z otwartymi ramionami i ks. prowincyałowi Korotkiewiczowi przedstawił. Ks. przeor ofiarował dla nas biedniejszych księży w liczbie 15. mieszkanie i stół, zaopatrzył w pieniądze i na czas pobytu we Lwowie nie odmówił przytułku. Cześć jego pamięci!

mnienie pozostaje, gdy wpadamy w konwulsyjne drgania, usłyszawszy wysokie c, wysokie tryle głosu śpiewaka lub śpiewaczki. Uwielbienie to dochodzi do szału, nie znającego miary, a w porównaniach tego rodzaju znakomitości, wszelkie granice nie istnieją. Że z tego muszą wynikać nadużycia o pojęciach czci narodu i chwały, to nie potrzeba dalej szukać jak we Lwowie, w tem naszem słynnem już ognisku, jako fabryki znakomitości i wielkich ludzi.

Komuż to już nie ofiarowywaliśmy srebrnych wieńców i laurów, złotych piór i nawet najwyższych oznak godności zasług obywatelskich, oto takim osobistościom, które nigdy do tej chwały nie dorosną. Ale mniejsza już o to; przypatrzmy się troszkę bliżej tym naszym wielkim geniuszom i potęgom, które zyskały wprawdzie pewną sławę, oczarowują mianowicie swymi głosami, a więc słusznie im się należy i korzyść materyalna z ich talentu.

Ci panowie i panie, jak tego mamy dowody, są gdzieindziej daleko skr mniejsi aniżeli u nas, i nie tak wymagający, aby nawet najzwyklejszy śmiertelnik dla usłyszenia ich, zmuszony był do ofiar, jak na te czasy prawie bajońskich. I tak: Jeżeli który z naszych sławnych rodaków lub rodaczek raczy uczynić zaszczyt krajowi, a nawet wrzekomą łaskę, przyjeżdżając do Lwowa, to tę chwałę i miłość kraju, poświęcanie się dla rodaków, musimy bardzo drogo opłacać i kilka występów porownać śmiało można z napadem tatarskim i z nałożoną kontrybucyą przez nieprzyjaciela. Jeżeli zaś t j kontrybucyi w pierwszym zaraz zapędzie i w mgnieniu oka nie zdoła złożyć, to kopnie cię nogą i pojedzie dalej, tak jak to uczyniła pani Sembrich-Kochańska w Poznaniu.

Myśli te nastręczył nam wypadkowo afisz, donoszący o występach p. Władysława Mierzwińskiego w Düsseldorfie, a więc wcale nieposledniem mieście, a poręczyć możemy, że daleko bogatszem od Lwowa. Otóż gdy we Lwowie opiewały afisze po 30 złr. za lożę, a były to ceny tylko nominalne, bo płacono po 50, a nawet 100 złr, — przeczytajmy afisz Düsseldorfski, który podajemy dosłownie:

„Düsseldorfer Stadt-Theater. Dienstag den 16. u. Freitag den 19. Februar 1886: Zweimaliges Gastspiel des Kais. Königl. Kammersängers Ladislav Mierzwinsky. Die Jüdin. Der Prophet. Erhöhte Eintrittspreise. Vormerkungen zu beiden Vorstellungen werden von heute ab an der Theatercasse entgegengenommen.

Preise der Plätze: Prosceniumsloge M. 9, I. Rang Balcon M. 7,50. I. Rangloge, Parqnet und Parquetloge M. 6, II. Rang Balcon M. 3, II. Rangloge M. 2 u. s. w. Die Direction: E. Simons“.

A więc tam pierwszorzędna loża kosztowała na naszą monetę 4 złr. 50 ct. — P. Mierzwiński nie oburzył się, nie był zgorszony, ale występował bardzo grzecznie i w trudniejszych operach, aniżeli we Lwowie. A że i w Düsseldorfie Niemcom tak nie imponował i nie puszczał finf pod nosy, jak rodakom nad Pełtwią, za to możemy również poręczyć.

Zdaniem naszem należałoby się zastanowić czy to nie ubliża nam samym, jeżeli taki rodak lub rodaczka każą sobie tak drogo płacić za chwilkę łechtania nerwów słuchu i w imię patryotyzmu nakładają najbezczelniejsze kontrybucye. Uwaga taka zdaje nam się jest na miejscu, gdy do wyciśniętego jak cytryna miasta przybywa za kilka dni pani Sembrich-Kochańska, a — stugębna fama od lat uderza w puzony jej sławy. Pani Kochańska gdyby nie była otoczoną opieką osób we Lwowie wprawdzie nieobfitujących w skarby monetarne, ale jedynie w bogactwo duszy i serc bratnich, gdy była tylko jeszcze panną Kochańską, gdyby nie była otoczona taką troskliwą opieką, jakiej doznała, to pytanie wielkie, czyby znane jej było nazwisko dzisiaj na szerszej arenie artystycznej. Od tych pierwszych kroków, które jej umożebniły przyszłość obecną minęło już coś więcej jak dziesiątek lat. Jej ówcześni opiekunowie i przyjaciele cieszyli się i rozpromieniali jej chwałą, myśląc sobie zapewne w duchu, — ha, zrobiliśmy dobry uczynek, przyczynilismy się do sławy kraju i w naiwności swej oczekiwali od roku do roku, że kochana ich dzieweczka przybędzie, aby uścisnąć im ręce, albo też przynajmniej chociaż słówkiem jednem raczy ich sobie przypomnieć i donieść im o sobie. Były to jednak niesłuszne wymagania, bo przecież taka sławna „diva“ ma o czem innem do pamiętania i myślenia, a aby się pokazać rodakom, no, to na to jeszcze wiele czasu pozostaje.

Nareszcie wystąpiła obecnie p. Sembrich-Kochańska w Warszawie, ale pomimo swego słynnego głosu nie umiała tak bardzo rozentuzjazmować Warszawy gdy dla Warszawian zapomniała nawet rodzinnego języka a zaśpiewała „ein Liedchen“. Wprawdzie spostrzegłszy się, że Warszawa niepuszcza takich rzeczy płazem, dla niezerwania mostów za sobą przeznaczyła na cele dobroczynne i to jak dzienniki donoszą w okrągłej sumie 1.000 rubli, poczem pojechała do Poznania. Dowiedziawszy się jednak, że na „p i e r w s z y r u f“ — przed jej przyjazdem nie rozkupiono wszystkich biletów, pomimo zapowiedzianego występu — pojechała dalej, obrażona strasznie takim brakiem patryotyzmu biednych Wielkopolan, którzy jak dzienniki poznańskie donoszą, za to jedynie zostali przez nią ukarani, iż się wprawdzie zjechali bardzo licznie nawet z prowincyi, ale natychmiast nie podążyli do kasy teatralnej.

Jak nie pyszni zmuszeni byli powracać do domów, nie ujrzawszy nawet oblicza sławnej rodaczki. Są tacy, którzy twierdzą, że pani Sembrich-Kochańska-Stengel pozazdrościwszy względów, jakimi obsypywany jest w Berlinie p. Władysław Mierzwiński, zmuszoną była zademenstrować, że jej na Wielkopolanach bardzo mało zależy, aby tym sposobem utorować sobie szczególne względy i łaskę nad Spreą.

Na takie bagatelki nie powinien jednakowoż Lwów uważać, a kasyno nasze literacko-artystyczne po swej świeżo przeprowadzonej reorganizacyi, zwoła niezawodnie Walne Zgromadzenie i wybierze komitet, który godnie przyjmie sławną rodaczkę. A więc lwowianie przygotowujcie monetę na nową kontrybucyę!

Czarna banda nie daje za wygranę.

Fundacya skarbkowska w postaci tłustej pieczeni, która przez tyle lat karmiła i odżywiała rozmaitych, różnych stopni znakomitych śmiertelników, dając pole do bezkarnego rabunku grosza i dobra publicznego, gdy obecnie wchodzi na inne tory, gdy Kuratoryi nie pozostaje nic innego, jak z korzeniem wyrwać wszelką demoralizacyę, jeżeli się nie chce narazić na wielką odpowiedzialność przed krajem. Praca ta prawdziwie tytaniczna, oburza do najwyższego stopnia powyrzucanych z raju fundacyjnego aniołów, odbiera im sen, a wzmaga apetyt i kohorta ta w żaden sposób nie może tego zrozumieć, że jej panowanie się skończyło i że do steru nie dojdzie.

Pomimo to czuć ona musi za sobą w niejednym kierunku silne plecy, że pieczeń ta nie jest dla niej jeszcze zupełnie straconą; to też ani chwili się nie waha, aby przy pomocy cynizmu i kłamstwa, chociaż po okruszynie podkopywać stanowisko obecnej Kuratoryi i przedstawiać takową w opinii publicznej w świetle ciemnem, zarzucać chociaż niedołęztwo, nieradztwo i brak pojęcia o przyjętych obowiązkach. To też za każdym razem, gdy kuratorya odkrywa w Drohowyżu lub na obszarze fundacyjnym wszelkiego rodzaju nadużycia, jakoto: niecne szacherki, praktykowane latami, defraudacye, oszustwa i t. d., które dotąd zdołała przeszła dyrekcya i zarząd w Drohowyżu ukrywać, gdy kuratorya, mianowicie przy rewizyi ksiąg w Zakładzie drohowyzkim odkrywa niezliczoną ilość fałszerstw, niedoborów, nadużyć, jakie się praktykowały systematycznie, ku największej szkodzie Zakładu, i to wszystko pod dyrekcyą znakomitego p. Juliusza Starkla, a więc naturalnie nic jej innego nie pozostaje, jak usuwać natychmiast zacząwszy od stróżów i dozorców, wszystkie dawniejsze siły administracyjne.

Wtenczas można na pewnika usłyszeć, że się tuż pojawi napaść przeciw obecnej kuratoryi. Bezczelność taka jest co najmniej oburzającą, chociaż łatwo zrozumieć, dokąd ona prowadzi, jeżeli czarne bandy nie dają za wygranę.

Oto i obecnie pojawił się taki szlachetny strzał w *Przeglądzie*, wymierzony naturalnie przez p. Maslowskiego, redaktora tego szlachetnego Timesa, a który jednego oka wcale nie potrzebuje zamykać gdy mierzy. Za tym serdecznym druhem po duchu poszedł *Dziennik polski* i umieścił w Nrze 75. następującą korespondencyę:

„Smutna wiadomość. Jedno z pism miejscowych donosi, że Rada nadzorcza fundacyi Skarbkowskiej uchwaliła zredukować liczbę sierót w Zakładzie drohowyzkim z 400 na 300. Jak wiadomo, fundator w swoim testamencie ustanowił liczbę sierót na 1.000 którą to liczbę uchwalony w roku 1875 statut organizacyjny zredukował do 400. Obecna redukcya ma nastąpić w skutek o b e c n e j nie bardzo dobrej administracyi. W sprawie tej udała się redakcya wspomnianego pisma do kuratora fundacyi, Henryka hr. Skarbka, który potwierdził rozmaite obawy, dodając, że objąwszy Zarząd dopiero od roku, nie może właściwie odpowiadać za stan fundacyi.

Zredukowanie liczby sierót z 400 na 300 notuje owe pismo jako „obiegającą pogłoskę“. Zdaje nam się, że sprawozdawca nie zrozumiał hrabiego Skarbka, w i a d o m o b o w i e m, ż e s t a n f u n d a c y i S k a r b k o w s k i e j w c h w i l i ś m i e r c i k s. J a b ł o n o w s k i e g o b y ł b a r d z o ś w i e t n y“.

Szczytem cynizmu w tym artykule jest orzeczenie o ś w i e t n y m s t a n i e fundacyi Skarbkowskiej z chwilą śmierci ks. Karola Jabłonowskiego. Na coś podobnego mogą się jedynie zdobyć Timesy lwowskie, w porozumieniu z równego im charakteru przyjaciółmi politycznymi, gdy ten świetny stan dopiero dzisiaj w całej swej wstrętnej nagości wychodzi na powierzchnię. Tak jest — był to stan świetny, ale dla zorganizowanej bandy, która uważała całą fundacyę jedynie z tytułu za instytucyę filantropijną, a w rzeczywistości oddaną na własność dożywotnią zorganizowanej szajce.

Inni zaś mając znajomych, lub bogatsi, pomieścili się przez nieomal 10 dni między swoimi. Wieczorem przyjechał poczciwy ks. Gutkowski, biskup podlaski, żyjący na wygnaniu, dla powitania nas. Z jakąż radością oglądał nas i witał ten staruszek, błogosławiąc nam. Życzyliśmy sobie, abyśmy mogli odprawić dziękczynne nabożeństwo w którym kościele, ale polityka administratora dyecezyi ks. Żmigrodzkiego nie dała nam pozwolenia, pomimo tego, żeśmy nie byli suspendowani ani ekskomunikowani. Pojmie każdy to przykre nader uczucie, gdyśmy od własnych Kaifaszów traktowani byli jak wyklęci i to w pierwszej erze konstytucyi.

Nazajutrz było dziękczynne nabożeństwo za otwarcie bram więziennych, na którem byli wszyscy więźniowie i cały lud lwowski, a nawet żydzi.

Całe te dwa dni uleciały na różnych wizytach. Porywano nas sobie z rąk do rąk, częstowano i goszczono. Nieopisana radość panowała w stolicy i w całym kraju. Ten ruch, te okrzyki, kokardy, ta broń, te śpiewy, przedstawienia narodowych scen w teatrze, ubiory polskie, obrazy, broszury, pamflety, karykatury, kurjerek i t. p. bardzo gniewały Niemców, ale obawiali się jeszcze podnieść głowy i nie przeszkadzali; siedzieli w domu, albo czmychali przez ulice w okropnej trwodze, w mniemaniu, że lada chwila wybuchnie rewolucya, o której się nikomu ani śniło.

Policya zawsze czynna straszyła chłopstwem, a z prowincyi donoszono, że jacyś apostołowie podżegali lud do rzezi. Nie znaleźli jednakowoż posłuchu.

Hr. Gołuchowski, wiceprezes rządu krajowego podsunął myśl wywołania kwestyi ruskiej, a Stadion uchwycił się idei rozdwojenia narodu jak tonący brzytwy. Hr. Gołuchowski wołał z balkonu do Rusinów, gdy mu przywieziono korowaj i miód parą wołami ze złoconymi rogami, z Kołomyjskiego „I j a R u s y n, H o ł u c h!“

Należy pamiętać, że polityka zmienna namiestnika Gołuchowskiego w r. 1866 potępiała to dziecię własne, które wtedy w r. 1848 zrodziła.

Gubernator Stadion idąc za poradą Gołuchowskiego, trzymał się tej polityki, ignorując prawie zupełnie konstytucyę, a nawet groził.

Szelę wywieziono na Bukowinę, aby go uchronić od zemsty. W tym przejeździe eskortowany dla bezpieczeństwa, był w drodze po różnych urzędach przyjmowany i hojnie fetowany. Na Bukowinie dostał znaczny kawał gruntu i zapomogę na zagospodarowanie. Lecz był tak wstrętnym wszystkim, a nawet Niemcom kolonistom, że go unikano jak zarazy. Rzadko znalazł się człowiek, chyba ostatni wyrzutek społeczeństwa, któryby wszedł był pod jego dach. Przyszły i wyrzuty sumienia, aż się w końcu powiesił.

Przybył do Galicyi jenerał Bem, a ten radził inaczej zabezpieczyć konstytucyę, ale szlachta podzieliwszy się na partye nie chciała go słuchać Przy boku Stadiona utworzyła się t. nazw. „Beirath“. Na czele tej rady bardzo niepopularnej stanęli: książę Karol Jabłonowski, Gwalbert Pawlikowski z Medyki, Piotr Trzciński i Ludwik Zieliński, były redaktor „Lwowianina“, którytо ostatni podłością, szachrajstwem, szpiegostwem zgromadził wielki majątek i kupił dobra, obdzierał on szlachtę zakordonową, sprzedając jej legitymacye, Hilary Męciszewski, oczajdusza i zaprzaniec, redaktor pisma „Polska“. Obok tych wrzekomych wybitnych postaci obywatelskich gromadziła się prawie cała arystokracya kraju, z niewielu wyjątkami, rzucając błotem na demokracyę czyli ulicę, paraliżując wymagania wolności konstytucyjnej.

Rada ruska u św. Jura pod przewodnictwem metropolity Jachimowicza i kanoników kapituły we Lwowie i w Przemyślu, ciosy śmiertelne zadawała Radzie narodowej polskiej, burzyła lud, podżegając do Koliszczyzny, schlebiając biurokracyi i wypiastowanej przez nią reakcyi. Nie dziw więc, że gdy zaczęły działać reakcya, św. Jur i żydzi, żołnierstwo i biurokracya zaczęły przybierać coraz groźniejszą postać. W nieustającej walce przechodziły miesiące wiosenne i letnie; tworzyły się gwardye i ćwiczyły w broni. Jenerałem gwardyi narodowej był Wybranowski, niedołężny i bez wszelkiej odwagi. Bem służył jako szeregowiec w gwardyi, chcąc pokazać ludowi swe chęci. Przybyło mnóstwo emigracyi z r. 1831 z zagranicy. Emi-

Przepraszamy naszych szan. czytelników, że w ...ym artykule zmuszeni jesteśmy antiquo modo zrzu...ić znowu rękawiczki i pisać w tenorze, który zno...wu może na niejedno czułe ucho niemile oddziałać; ...ecz pytamy, co czynić w takich wypadkach które ...dotyczą sprawy i dobra kraju, dobra publicznego. ...nstytucyi wielkiego znaczenia, która jedynie zbie...giem okoliczności wyrwana z pod rabunku, a dziś ...uż odczuć każdy może cele napadów na nową ku...ratoryę, aby takową zniechęcać do pracy, budzić ...przeciw niej niechęć opinii publicznej i uniemożebniać wszelki dodatni ruch?

Ten stan świetny, w jakim hr. Henryk Skarbek objął po swoim poprzedniku fundacyę, przedstawiał się w rzeczywistości tak, a co się już w żaden sposób ukryć nie dało, że cyfra zaległości niedoborów wynosiła 51.997 złr. Ale nie kończyło się niestety na tych zaległościach, które nawet taki Zakład jak drohowyzki, stawiały w nader trudnem położeniu. Nowa kuratorya w ciągu roku badając szczegółowo przestrzeń fundacyjną, mogła dopiero nabyć prawdziwej wyobraźni przynajmniej o stanie fundacyi na zewnątrz Zakładu drohowyzkiego; Jak długo jednak nie opuścił Drohowyza p. d rektor Juliusz Starkel, pogląd na stan tego zakładu był wprost niemożebny, bo szanowny ten dyrektor był otoczony taką wytresowaną bandą sojuszników, recte funkcyonaryuszów Zakładu, zacząwszy od parobka lub dozorcy, iż dokładne sumienne zbadanie nadużyć stawało się niemożebnem. Dopiero po ustąpieniu z Drohowyza p. Starkla, rozwiązane zostały kuratoryi ręce, a to, co się z każdym dniem wykrywa, mogłoby dać ciekawe materyały c. k. Prokuratoryi i Sądom karnym. Gdy się nowa kuratorya rozpatrzyła w rozmaitych księgach kasowych, kontroli zakupna materyałów, pozycyj dłużników i t. d., — przekonuje się, że wiarogodność tych ksiąg jest zbyt względną, a że kuratorya w danym razie mogłaby być pociąganą do odpowiedzialności, nie można jej brać za złe, że usiłuje rachunki przyprowadzić do porządku, aby później nie odpowiadać za rachunek, do którego nie przyłożyła ręki.

Teraz dopiero rozwiązują się języki, jaka to była administracya dyrektora p. Juliusza Starkla. I tak: W corocznych rachunkach wydatków na utrzymanie wychowańców figurują znaczne cyfry na sprawianie bielizny, a w rzeczywistości wychowańcy żyli w takiej nędzy, że im **po kilka tygodni** nie zmieniano nawet koszul. Można więc wyobrazić sobie nędzę i upadek zdrowia tych biedaków.

Wyżywienie zasadzało się głownie na tem, aby ...sławny p. Schor, jeneralny dostawca wszystkich artykułów spożywczych mógł robić jak najlepsze interesa. Przeciętnie bywała strawa daleko gorszą i niezdrowszą od tej, jaką są karmieni więźnie w lwowskich Brygidkach, lub innych domach karnych. Tu przytoczyć możemy jeden ciekawy przykład.

Przez cały rok pojawiały się ziemniaki zaledwie kilka razy na stole wychowańców, a to niby z tego powodu, że: — „było za wiele zachodu ze skrobaniem ziemniaków“. W rzeczywistości zaś ziemniaki w porównaniu do krup, mąki, grochu, używane częściej na pokarm dla wychowańców, uszczuplałyby zyski p. Schora.

Jak wiadomo, szewstwo i krawiectwo ma warstaty w zakładzie drohowyzkim, zaliczające się do nauki rzemiosł głównych. W warstatach tych, wyrabiano kamaszki, lakierki, buciki etc. na zamówienia i rozsyłano w dalekie strony rozmaitym klientom. przyjaciołom, familiantom i t. d., ignorując zupełnie, że wychowańcy w zakładzie chodzili boso, lub w kompletnie podartem obuwiu, kalecząc i odmrażając nogi; gdy im nawet onucki na nogach gniły, nie zmieniane po sześć tygodni i dłużej, a pdy już koniecznie wypadało obuwie naprawić lub sprawić nowe, to robota ta była dla „szefów“ warstatu szewskiego i przełożonych nad takowymi, za ordynarną, za mało „**l u k r a t y w n ą**“, a więc odsyłano te reperacye, a nawet robotę nowych butów dla wychowańców, rozmaitym partaczom w Mikolajowie i podobno znowu za rekomendacyą p. Schora.

Obecnie przedstawiają książki warstatowe bardzo ciekawe pozycye, jacy to tam figurują dłużnicy, którzy winni są rozmaite sumy za obuwie, garderobę, wózki powozy i rozmaite inne wyróby z warstatów drohowyzkich pobrane. Zdarzają się bardzo poważne pozycye, bo przenoszą nawet po 1000 złr., a więc naturalnie kuratorya obecna udaje się do tych panów i żąda wyrównania. Ci jednak przybywają znowu do kuratoryi, i ku jej wielkiemu zdumieniu przedkładają dokumenta, że te wrzekome pretensye zakładu dawno pokryli — a nie ich wina, że w książkach kasowych odbiór pieniędzy nie był uwidoczniony. W księgach dostaw znaleść można nawet firmy, które nie istniały i nie istnieją w Europie, a jednak za znaczne sumy dostarczały rozmaitych materyałów do zakładu drohowyzkiego.

Spostrzeżenia takie spowodowały kuratoryę, że odniosła się w tym względzie do Wydziału krajowego, który jak się dowiadujemy uznał za właściwe wysłanie znowu urzędnika z swego ramienia, aby zbadał naturę i cyfry tych mankamentów. Mamy nadzieję, że i o tych faktach będziemy w możności podać naszym czytelnikom bliższe szczegóły,

Oprócz p. dyrektora Juliusza Starkla winni być pociągnięci kontroler i zarządca warstatów, p. Łazowski, któremu, jak się dowiadujemy z przyjemnością, kuratorya podziękowała już za jego pracę i poświęcenie. Ale p. Łazowski ma posiadać bardzo silną tarczę przeciwko swej nienaruszalności, a tarczą tą jest rozporządzenie na piśmie byłej kuratoryi, które tak opiewa, że już naprzód zwolniono go od wszelkiej odpowiedzialności za to co się dzieje i co się dziać mogło. No — a p. Łazowski uważał za właściwe milczeć i robić to, co p. dyr. Starkel i kuratorya mu nakazywała. Wprawdzie zaczynają kiełkować inne wieści, inne dokumenta, ale gdy takowe są dopiero w toku śledztwa, nie możemy o nich mówić. Kilku funkcyonaryuszów ze sztabu p. Juliusza Starkla, jak ochmistrz, kowal i jakiś trzeci oddalony, znaleźli opiekę pod skrzydłami swego ukochanego szefa dyrektora, który ich przyjął do składu redakcyi *Gazety narodowej*, nie omieszkawszy jednak pobrać od nich przedewszystkiem kaucye. Dotychczas kuratorya nowa pod przewodnictwem hr. Henryka Skarbka nie uważała widocznie za właściwe rozmazywania tych niewonnych spraw z tego powodu, że co się stało, już się nie wróci, bo o odszkodowaniu nie może być mowy; ale, jeżeli ta niepoprawna czarna banda nie ustaje w rzucaniu oszczerstw na obecną kuratoryę, i na każdym kroku usiłuje odwracać od niej życzliwość opinii publicznej uchylać moralne poparcie obywateli kraju, to obowiązkiem jej jest wykrywać wszystko i nie oszczędzać nikogo, co się działo i jak za przeszłej kuratoryi, jak wygląda dyrektoryat tego p. Juliusza Starkla, który dziś w odczytach głosi swe poglądy o wychowaniu kobiet, zapytujemy, czy to nie jest cynizm, posunięty do potęgi?

Oszczerstwo ostatnie, jakoby kuratorya chciała obniżyć liczbę wychowańców z 400 na 300 w zakładzie drohowyzkim, nie trudno się domyśleć, z jakiego źródła pochodzi. Bo przypuśćmy nawet, że kurator hr. Henryk Skarbek, który w jednym roku nie mógł naprawić tego wszystkiego złego, tych nieprawidłowości, niedoborów a z powodu naprzód porobionych długoletnich kontraktów dzierzawnych przez byłego dyrektora p. Kówesza, nie może jednem machnięciem ręki podnieść dochodów fondacyi, to czyby mu się można nareszcie dziwić, gdyby w takiem rozpaczliwem położeniu wyrzekł: — czy nie lepiej na czas pewien obniżyć liczbę wychowańców?“ Pogląd taki jest jeszcze dalekim od wykonania. Jeżeli więc ktoś z takiej myśli wysnuł fakt dokonany i rzucił go na pastwę opinii publicznej, z dodatkiem: że „stan fundacyi skarbkowskiej w chwili śmierci ks. Karola Jabłonowskiego był bardzo świetny tego się mógł dopuścić nie kto inny tylko człowiek wielce nieuczciwy, i co najmniej honorowy członek czarnej bandy, grasującej w Galicyi.

Hr. Henryk Skarbek dał też słuszną odprawę temu oszczerstwu w *Gazecie lwow.* i innych pismach. Czy to jednak pomoże i poskromi niepoprawnych?

Dodać jeszcze w końcu musimy, że kuratorya w ciągu roku nie tylko nie obniżyła liczby wychowańców, ale przyjęła 37 chłopców i 17 dziewcząt.

W tym czasie na wiosnę usuwa kuratorya z Drohowyża pewną liczbę dziewcząt najstarszych, których wychowanie należy uważać za ukończone. Gdy zaś liczą po 17, 18 lat życia, to nie można od kuratoryi wymagać, aby były trzymane w Zakładzie do pełnoletności, lub też do zamążpójścia. To samo dotyczy wychowańców płci męskiej. My zaś *z nader ważnych powodów* jeszcze i to dodajemy, że usunięcie starszych wychowańców obojga płci byłoby pod każdym względem do życzenia, aby to nastąpiło jak najprędzej Wtenczas dopiero będzie można rozpocząć dalsze prawdziwe wychowanie i umoralnienie.

Liczba starców, która nieprzechodziła kilkunastu, dochodzi teraz o ile nam wiadomo do 40. Mieliśmy niedawno sposobność mówienia z niektórymi, a ci błogosławią chwile, gdy się dostali pod opiekę nowej kuratoryi, gdyż nietylko materyalnie jest polepszony ich byt tamże, ale i moralnie nie są upokarzani, dręczeni i traktowani jakby rodzaj kryminalistów, co przedtem było na porządku dziennym.

Dla nas jest obojętnem, kto stoi na czele kuratoryi, i gdyby obecna weszła na niewłaściwą drogę, tak samobyśmy ją pociągali do odpowiedzialności publicznej, jak to dotąd czyniliśmy. Jak długo jednak takich powodów nie ma, to jest świętym obowiązkiem obywatelskim bronić kuratoryi, bo tem samem broni się wielkiego znaczenia europejskiego fundacyi filantropijnej, która **musi** wejść na właściwe tory i być chlubą kraju.

Sprawy rolnicze w Galicyi.

II.

Katastralne ocenienie dochodu gruntowego, które autor artykułów w *Kuryerze lwowskim* podaje za najdokładniejszą wskazówkę do unormowania stosun-

---

gracya ta rozchodziła się po kraju, obejmując stopnie instruktorów nad gwardyami. Biurokracya i żołdactwo związały się, a szczególniej od upadku powstania włoskiego. Wiadomo, że jeszcze w lutym ruch w Paryżu wywołał powstanie w Medyolanie, w Weneeyi, w Rzymie, w Neapolu we Florencyi i w całych Włoszech. Początek wyszedł z Rzymu. Na stolicy apostolskiej zasiadł w 1846 r. Pius IX. Przejęty ludzkością otworzył więzienia, wypuścił na wolność kilka tysięcy ofiar, osadzonych z czasów Grzegorza XVI. Wielka radość i błogosławieństwo ludu odbiły się w całem państwie. Za radą i przedstawianiem O. Ventury, Teatyna i sekretarza papieskiego, ogłoszono amnestyę i konstytucyę; co zelektryzowało cały kraj włoski Wybuchło powstanie w Medyolanie, Austryacy musieli ustąpić, a połączone wojsko włoskie prowadził do boju Karol Albert, król sardyński. Stoczono kilka bitew i Austryacy zwyciężyli. Karol Albert czmychnął za granicę, a Radecki, feldmarszałek austryacki rozpoczął krwawe panowanie od 15 Maja.

Gdyśmy tak przez 10 dni przypatrzyli się tym agitacyom niechętnych żywiołów, gdyśmy już podzielili powszechną radość z ludem lwowskim, i z kokardami na rogatywkach poobiegali publiczne place, rozpoczęliśmy się rozjeżdżać, bo już i czas było pomyśleć o swojem stanowisku, a policya tolerująca nas w mieście, starała się wypchać za miasto niebezpieczne żywioły, do których i nas kapłanów liczono. Podawano nam chętnie zaliczki na drogę i wyprawiano dotąd kto chciał. Wziąwszy z krajowych pieniędzy zapomogę na drogę w kwocie 15 fl., wyjechałem do Sambora z towarzyszem doli ks. Dimmlem.

Ledwie uściskałem matkę staruszkę, która przez moje uwięzienie dwuletnie o mało z nędzy nie zginęła, i bardzo była zasmucona a teraz rozradowana, ledwie przywitałem się z braćmi i o swoich cierpieniach rozpowiadać począłem, gdy w tem tłum studentów obległ dom i w serdecznych okrzykach oddawał cześć męczennikom sprawy Polskiej. Musiałem wyjść i pobłogosławić dziatwę, zachęcając do miłości ojczyzny. To samo uczyniła młodzież ta i ks. Dimmlowi.

Nazajutrz udałem się do proboszcza prałata, a ten, co przed rokiem nie chciał przyjąć rzeczy z Jasionowa i Sanoka przez brykarzy do niego adresowanych, ten, który matce mej w nędzy zostającej pomocnej nie podał ręki posiadając tysiące, ten Kaifasz wziął mię wikarego pod ramię i prowadził po schodach do siebie. Gardziłem w duszy nim za tę obłudę, to też oddawszy mu uszanowanie jako proboszczowi, i przedstawiwszy prośbę o pozwolenie ołtarza, ku zdziwieniu memu odebrałem odmowną odpowiedź. Taki był jeszcze serwilizm w tym prałacie, któremu infuła biskupia przed oczami migała. Nie przyjąłem traktamentu, ani też ofiarowanego mi przytułku i stołu. Pożegnałem proboszcza i wolałem zamieszkać u poczciwego księdza gwardyana Bernardynów Krzywdy.

Pojechawszy do Przemyśla z kolegą ks. Dimmlem, zostaliśmy mile przyjęci przez ks. biskupa, który się dziwił wygórowanej polityce proboszcza i powróciliśmy z pozwoleniem nietylko odprawiania Mszy św., ale wszelkich kapłańskich funkcyj. Nie w farnym kościele jednak, lecz u ks. Bernardynów miewałem Mszę, co ubodło prałata, żem się jak mówił przyczepił do mnichów.

Dostawszy z Przemyśla od kanoników niektórych naganę, jako to: od Hoppego, Kirchenbergera i im podobnych, a od poczciwych ks. Czajkowskiego, Kom., Dzia., Ziem., itd. pochwałę i aplikatę do Sądowej Wiszni, wyjechałem na miejsce przeznaczone po świętach Wielkanocnych, zabrawszy z sobą matkę, aby jej już nie opuścić i nie dać biedować.

(C. d. n.)

ków dzierżawnych, jest jak powyżej wykazano zupełnie mylne, nieprawidłowe, jednem słowem fiskalną niedorzecznością, albowiem wszystko, cokolwiek tylko ostatni kataster w Galicyi dokonał, nie jest tak sporządzone, aby było absolutnie nieomylne — prawdziwe, z czem się nietylko rolnicy zgadzają, ale także i ekonomiści. Że się i ekonomiści zgadzają, przytoczę tu dla lepszego dowodu o tym dochodzie katastralnym, słowa p. Schäfflego, byłego ministra handlu, jednego ze znakomitych uczonych na polu ekonomji i nauk społecznych, z dzieła jego pod tyt: „Die Grundsätze der Steuerpolitik und die schwebenden Finanzfragen Deutschlands und Oesterreichs“ Tübingen 1880, które na s r. 309 tak opiewają: „Die Partheien zanken miteinander, ahnen aber nicht, wer der Mephisto ist der sie unter einander bringt. Es ist das starre Stabilkataster mit seiner innerlichen Unwarheit“.

Owoż ta „innerliche Unwarheit“ jest to katastralne ocenienie dochodu gr., albowiem d o c h ó d jest jedynym czynnikiem i całą podstawą katastru, bo jest k a p i t a ł e m, którego nie można w obecnym okresie katastralnym według ustawy z dnia 24. Maja 1869 zmienić do 1879 r. Pomiar zaś katastralny można każdego momentu poprawić, bo tu się rozchodzi tylko o zmianę posiadacza. Podatku, który jest p r o c e n t e m, nie można tak samo jak i dochodu zmienić, ale ten już nie należy do katastru, ponieważ go w steueramtach na podstawie stopy procentowej rozrepartują.

W dziennikach krajowych bywają czasami podawane takie artykuły w sprawach rolniczych, że człowiek inteligentny czytając je, musi przyznać autorowi słuszność, zwłaszcza jeżeli nie widzi żadnego dowodu w cyfrach, a sprawa do tego jeszcze teorytycznemi prawidłami z ekonomii społecznej jest przeplataną. Autor artykułów widocznie jest obeznanym z tą sprawą rolniczą, bo powiada: „*Mimo nawet zaszłych usterek jak np. w powiecie dobromilskim znachodzą się wypadki, że czynsz dzierzawny jest podwójnie prawie tak wysoki, jak ściśle obliczony czysty dochód podług którego podatek się wymierza.*

Wiadomo, że dawny do r. 1880 czysty dochód gr., który mówiąc nawiasem Niemcy i Czesi nam ustanowili na 17,300.000 złr. został w Galicyi po ostatniem ocenieniu na 24,487.248 złr. podwyższonym czyli o 7,187.248 złr. zwiększonym, ale to nie oznacza, aby to podwyższenie dochodu w równomiernym stosunku na wszystkie powiaty, gminy i właścicieli rozłożono, bo mamy 7 powiatów, gdzie dawny dochód gr. nie został podwyższonym, tylko przeciwnie zmniejszonym i jak to z urzędowego zestawienia*) widzimy, że sobie ten dochód zniżyły: 1. powiat Turka o 11.000 złr., 2. Staremiasto o 11.000 złr., 3. Brzesko o 19.815 złr., 4. Limanowa o 31.976 złr., 5. Grybów o 33 048 złr., Dobromil o 39.227 złr. 7. Gorlice o 58.661 złr. Tak samo są jeszcze powiaty, gdzie dawny dochód ten sam pozostał, ale reszta powiatów dawny swój dochód o $1^1/_2$, 2, $2^1/_2$ i 3 razy zwiększyły, zatem powinni właściciele według tego ocenienia dochodu, czynsze dzierzawne w jednych powiatach zniżyć, a w innych podwyższyć dlatego, ponieważ ten katastralny czysty dochód ma być według autora najdokładniejszą wskazówką.

Czy przyszło to kiedy komu na myśl i czy słyszał to w Galicyi kiedy który właściciel albo dzierzawca, aby katastralny dochód mógł służyć za wskazówkę do unormowania stosunków dzierżawnych? Sprawy rolnicze nie można traktować tylko pięknymi zwrotami retorycznymi, dlatego przypatrzmy się, jak to wszystko wygląda w cyfrach. Właściciel ziemi w powiecie Dobromilskim nie wiedząc o tem, jaki był jego dochód katastralny, wypuścił swój folwark dawniej za 600 złr. w dzierzawę, a że wszędzie czynsze podwyższono, więc podniósł ten czynsz dzierzawny później na 1000 złr., ale niewiedział o tem że jego dochód katastralny był dawniej ocenionym na 750 złr. Przy ostatniem ocenieniu, został ten dochód przez komisyę szacunkową stosownie jak powyżej cyfry przy powiecie Dobromilskim pokazują, zniżonym o $^1/_4$ część, a zatem dawny dochód 750 złr. na 563 złr. zniżono, więc naturalnie, że czynsz dzierzawny 1000 złr. jest prawie dwa razy taki, jak nowy czysty dochód 563 złr., od którego podatek się wymierza. Jeżeli dawniej ten właściciel płacił od dochodu 750 złr. po $26^2/_3\%$, to wypadała dawna powinność podatkowa 200 złr., a że nowy dochód zniżono na 563 złr. więc podług nowej stopy procentowej $37^5/_6\%$ wypada powinność podatkowa 243 złr. a zatem prawie ta sama.

Czyli taki właściciel, rozumie się jeżeli czynsz dzierzawny niewygórował — powinien ten czynsz dlatego na połowę zniżyć, że dochód katastralny zniżono, a podatek ten sam pozostał? Naturalnie że ani do zniżenia ani do podwyższenia czynszu niema żadnego powodu, bo na dochód katastralny jak dawniej tak i teraz się nie ogląda

Weźmy ten sam przykład w takim powiecie, gdzie dawny dochód o 3 razy zwiększono a czynsz dzierzawny tak samo 1000 złr. i dochód katastralny 750 złr. Ten dochód 750 złr., jest teraz 3 razy większy, a zatem 2.250 złr., więc podług autora artykułów powinien czynsz być na 2.250 złr., czyli więcej jak $2^1/_4$ razy podwyższonym. Dawna powinność podatkowa od dochodu 750 złr., po $26^2/_3\%$ wynosiła 200 złr., a teraz od dochodu 2.250 złr. po $37^5/_6\%$ wynosi 850 złr., a zatem więcej jak 4 razy podwyższoną. Czyli taki właściciel może teraz więcej jak $2^1/_4$ razy wyższy czynsz dzierzawny żądać? Naturalnie że takiego dzierzawcy niedostanie, bo i sam właściciel o tem bardzo dobrze wie. Ale takiemu właścicielowi niechodziło to aby czynsz dostał $2^1/_4$ razy większy, bo byłoby to prostą niedorzecznością, tylko o to, aby się znalazł taki dzierzawca, któryby uwierzył w ten dochód katastralny i mógł przynajmniej dać tyle więcej na 1000 złr., aby tą zwyżką ten 4 razy większy podatek zapłacić, a ponieważ dawny podatek wynosił 200 złr., a teraz 850 złr., więc aby tych 650 złr. dał dzierzawca więcej. A że właścicielowi nie wypada powiedzieć dzierzawcy poprostu, żeby tę zwyżkę podatku o 650 złr. do czynszu dzierzawnego dodał, więc podają się artykuły do najwięcej czytanego dziennika z przykładem Dobromilskiego powiatu *i zaręcza się niedwuznacznie tylko całkiem sumiennie, że katastralny czysty dochód jest najdokładniejszą wskazówką do unormowania stosunków dzierzawnych, bo na tem zasadza się ta niemała doniosłość społeczna do prawidłowego podziału wszystkich tych zasobów, które bogactwem społecznem mienimy.* Taki prawidłowy podział bogactwa społecznego, jest prostym szmermelem i bezgranicznem sobkostwem w celu obałamucenia jednej pracowitej klasy biedniejszych ludzi, aby drugim służyło niezachodzące nigdy słońce rozkoszy.

Trzeba i to jeszcze zauważyć, że wygórowane czynsze dzierzawne w Galicyi, niemało się przyczyniły do naszego upadku rolniczego w kraju. Kiedy po ostatecznem rozłożeniu katastralnego dochodu gr. na wszystkie kraje Przedlitawii, nasi posłowie w Izbie poselskiej w r. 1880 z tem rozłożeniem dochodu się niezgadzali, ponieważ dla Galicyi okazał się najniekorzystniejszym, więc udowodniono im na podstawie dokumentów, iż cyfrowy stosunek obliczonego dochodu gr. w całej Przedlitawji wykazuje. że p r z e c i ę t n y d o c h ó d c z y n s z ó w d z i e r z a w n y c h z j e d n e g o m o r g a wynosi w Galicyi 71%, w Dalmacyi 62%, w Styryi 67%, w Austryi w. 59%, w Austryi n. 51% w Czechach 50% na Morawji 46%, na Szlązku 34%, na Bukowinie 36% w Salzburgu 28% w Tyrolu 16% itd. Ten wysoki przeciętny czysty dochód czynszów dzierzawnych z jednego morga w Galicyi obliczony na 71%, do czego niepotrzeba już żadnych komentarzy. przyczynił się do tego, że po naszem oszacowaniu dochodu na 23,000.000 złr., został ten dochód przy ostatniem rozłożeniu z powodu wygórowanych czynszów dzierzawnych, jeszcze prawie o półtora miliona, bo na 24.487.248 złr. podwyższonym, co się niemało do zwyższenia podatku, a tem samem do upadku naszego rolnictwa przyczyniło.

Ten katastralny czysty dochód, który ma rzekomo służyć do unormowania stosunków dzierzawnych, nie dotyczy samych dzierzawców, *ale nierównie więcej właścicieli ziemi*, ponieważ ten, który chce jakiś majątek kupić, także się dowiaduje, jaki jest dochód z tego majątku; dlatego też autor nie miał na myśli tych wyłącznie, co będą folwarki dzierzawić, *tylko tych co będą majątki kupować, aby w dochód katastralny uwierzyli*, albowiem kupujących jest daleko więcej. Dochód gruntowy jest dla katastru *idealnym kapitałem*, na każdym majątku w pierwszym rzędzie zaintabulowanym, a podatek *rzeczywistym procentem*, który jak się go niezapłaci — egzekwują. Przy kupnie jakiegoś majątku ma się rzecz inaczej, ponieważ dochód katastralny jest dla kupującego i d e a l n y m p r o c e n t e m tak samo, jak podatek znowu r z e c z y w i s t y m p r o c e n t e m. Kupujący nie wierzy w idealny procent (dochód katastralny), ponieważ przed zawarciem ugody sam sobie dochód gr. obrachuje i oceni, ale natomiast wierzy w rzeczywisty procent (urzędownie obrachowany podatek. Jeżeli np. jaki właściciel chce dwa folwarki sprzedać po 20.000 złr. za każdy z osobna, ponieważ oba są jednakie i w tych samych warunkach ekonomicznych, więc przypatrzmy się, jak to kupno i sprzedaż wypadnie, jeżeli jeden folwark położony jest w powiecie Limanowskim, a drugi w Pilznieńskim i każdy z tych folwarków miał dawniej obliczony dochód katastralny po 750 złr., od czego płacono podatku po 200 złr. od jednego folwarku.

Powiat Limanowski miał dawny dochód 154.552 złr., a nowy oceniono na 122.576 złr., zatem o 31.976 złr. czyli jak cyfry pokazują o $^1/_4$ część zniżono, więc w tym folwarku dawny dochód 750 zł. zniżono na 563 złr. od czego po $37^5/_6\%$ wypada podatku 213 złr., czyli prawie tak samo jak dawniej.

W powiecie Pilzneńskim wynosił dawny dochód 147.191 złr. a nowy oceniono na 294 341 złr. więc drugi raz tyle; dlatego w tym folwarku podwyższono dawny dochód 750 złr na 1500 złr. od czego po $37^5/_6\%$ wypada podatku 565 złr. a zatem od dawnego podatku o 352 złr. więcej. W powiecie Limanowskim płaci kupujący za folwark 20.000 złr. pomimo że dochód zniżono i zostaje właścicielem, w pow. Pilznienskim pomimo że dochód podwójono chce kupujący zapłacić tylko 13.000 złr. a to dlatego, że

*) Ob. „Gazeta Lwow.“ Nr. 292 z 1882 r.

Trzy zdrady w 1863 roku.

Urywek z pamiętnika

E. P.

Po nieszczęśliwej bitwie pod Krzywosądzem i niefortunnej potyczce pod Nową wsią w drugiej połowie lutego 1883 r. jenerał Mierosławski zmuszony się widział, tem bardziej iż dostał wrzodu w gardle, opuścić chwilowo pole walki i przenieść się w bezpieczne miejsce.[1])

W tym celu wybrał kapitana, później półkownika, Raczkowskiego, swego szefa sztabu, Jana Kurzynę swego sekretarza, Dra Ramlowa, Zygmunta Rozciszewskiego swego adjutanta, Pawła Rusieckiego i mnie jako swą eskortę i w późną noc przyjechaliśmy szczęśliwie kordon pruski.

W Jeziorze, jeżeli się nie mylę, po trzygodzinnym odpoczynku Jenerał Mierosławski rozdał nam role następujące: Jan Kurzyna z lekarzem Ramlowem mieli się udać do Krakowa w celu zbadania gruntu; szef sztabu kap. pruski Raczkowski miał pozostać w Poznańskiem; Zygmunt Rozciszewski miał towarzyszeć Mierosławskiemu do Paryża; Rusiecki miał powierzoną misyę do Warszawy; mnie zaś kazał Mierosławski wyliczyć 5000 franków z rozkazem udania się do Liege (Belgia) w celu zakontraktowania 1000 sztuk karabinów dla piechoty 200 sztuk sztućców dla strzelców, rewolwerów i lanc dla szwadronu ułanów, a przedewszystkiem uzbrojenie dla 200 kosynierów, bez którego, jak dodał, ani myśli ruszyć się do powstania.

Na uwagę moją, iż nie mając paszportu, boję się wieść z sobą kwotę tak znaczną, Jenerał mi ofuknął, iż dobry żołnierz słucha rozkazów, a nie zajmuje się paszportami. Jan zaś Kurzyna dodał: masz pieniądze, a z nimi całe Niemcy przejedziesz jak najswobodniej i wszyscy ci się będą kłaniać.

Słowa powyższe sprawdziłem na sobie doświadczeniem, jak zaraz opiszę.

Do Inowrocławia dostałem się szczęśliwie: wszędzie bowiem w tych stronach przeprowadzona była organizacya powstańcza, pomimo bardzo licznie snujących się żandarmów pruskich.

Lecz tutaj kończyła się organizacya narodowa przynajmniej w lutym 1863 r.

Aby dostać się do Bydgoszczy na kolej ni było innego sposobu, jak wziąść, tak zwaną, kuzyczkę, t. j. pocztę.

Ale kto chciał jechać pocztą, musiał wykazać się paszportem. Obywatel B. pod Inowrocławiem; któremu się zwierzyłem z moją misyą, zawiózł osobiście mnie do tej mieściny, aby mi ułatwić drogę

Była zaledwie 4-ta wieczorem, kiedyśmy stanęli u pewnego kupca w Inowrocławiu; poczta zaś odchodziła o 5-ej. Mieliśmy zatem godzinę czasu; p. B. kazał podać piwa, ja zaś prosiłem kupca, aby mi część pieniędzy francuskich zmieniał na pruskie i na drogę żeby mi przygotował wędliny, ser i bułki.

Zaledwie kupiec się oddalił, gdy sześciu panów w całej okazałości pruskich uniformów, weszło do izby. Był to landrat (pruski starosta) i pięciu urzędników.

Obywatel B., nie tracąc przytomności, podbiegł przywołać pruskiego dostojnika, mnie zaś przedstawił jako swego kuzyna z powiatu odolanowskiego. Wtenczas to dowiedziałem się, iż taki powiat istnieje na ziemiach polskich.

Pan landrat, któren wchodząc, głosem komendy, kazał dać sześć szklanek piwa, przywitawszy się z wielką uprzejmością z panem B. i zemną, był tyle grzecznym i krzyknął „noch zwei Glass Bier!“ zaprosiwszy nas na landratowskie piwo.

[1]) O wyprawie Jenerała Mierosławskiego na Kujawy w 1863. r. napisałem krótką relacyę, którą powierzyłem jemu do przejrzenia. Jenerał Mierosławski dość znacznie przeinaczył moją pracę i oddał swemu szwagrowi. W. Mazurkiewiczowi, właścicielowi „Głosu wolnego“ do druku. Następie swoim kosztem kazał zrobić odbitkę w 1867. lub 1868 w Londynie; pod tytułem „Urywek z pamiętnika Eustachego Petiona“. Będąc w szkole wojskowej w St. Cyr nie mogłem wystąpić przeciwko poprawkom i opuszczeniom jakie Jenerał Mierosławski sądził za stosowne poczynić.

nadwyżka podatkowa 352 złr. reprezentuje reszta kapitału 7000 złr. z którym c. k. Rząd jest zaintabulowanym.

W r. 1881 chciał pewien właściciel na Podolu, sprzedać swój majątek za 110.000 złr. od czego rocznie płacił podatku gruntowego 1000 złr., a że kupujący dawał tylko 100.000 złr., więc nieprzyszło do zgody. W r. 1882 chciał właściciel już stanowczo ten majątek za 100.000 złr. kupującemu sprzedać, ale kupujący prosił o zwłokę, ponieważ naczytał się podówczas w dziennikach,*) iż bardzo wiele gmin wniosło petycye do Sejmu o sprostowanie nakazów płatniczych co do wymiaru podatku gruntowego, albowiem gdzie niektórym gminom podwyższono podatek o 3 i 4 razy, a sejmowa komisya podatkowa oświadczyła się z tem, że te nakazy płatnicze są istotnie mylnie obrachowane, ponieważ interpretacya ustawy z d. 7. Czerwca 1881 co do tego obrachowania, jest przez lwowską dyrekcyą finansową mylnie wydedukowana nie z ustawy, lecz z instrukcyi ministeryalnej do tej ustawy wydanej**). Kupującemu niemogło się to w głowie pomieścić, ażeby wszystkie nakazy płatnicze były mylnie obrachowane i aby najwyższa władza finansowa w kraju mogła się tak grubo pomylić, więc prosił właściciela jeszcze o małą zwłokę i zaczął tę rolniczą sprawę pod względem podatkowym bliżej rozbierać. W r. 1883 napierał właściciel aby kupujący przystąpił do ugody i zapłacił 100.000 złr. względnie 70.000 złr. ponieważ 30.000 złr. jako dług bankowy pozostanie przy gruncie. Kupujący rozpatrzywszy się w sprawie podatkowej dał właścicielowi taką odpowiedź: „Z kupna się niezrzucam, ale targując majątek w r. 1881 myślałem, że podatek gruntowy 1000 złr. będzie mniej więcej taki sam i nadal, dlatego oferowałem 100.000 złr. Ponieważ w tym majątku dochód katastralny o 3 razy zwiększono, przezco podatek o 4 razy został podwyższonym i wynosi obecnie jak książka płatnicza udowadnia 4.000 złr., więc nadwyżkę podatkową 3000 złr. która reprezentuje kapitał 60.000 złr. jestem zmuszony od oferowanej kwoty 100.000 złr. względnie od 70.000 złr. potrącić i tylko 10.000 złr. za ten majątek obecnie mógłbym dopłacić“.

Gdyby ten właściciel był sprzedał swój majątek w r. 1881 za 100.000 złr., byłoby mu pozostało 70.000 złr. od czego po 5% miałby rocznie 3.500 złr. W r. 1883 przekonał się, że jest tylko nominalnym właścicielem, bo zaledwie 10.000 zł. na tym majątku pozostało mu własnych. Takich nominalnych właścicieli mamy w 60. powiatach galicyjskich bez liku, którzy chcą swoje folwarki posprzedawać, dlatego autor artykułów w zapale obrony wypowiedzianych prawd ekonomicznych apeluje aż do patryotyzmu kupujących, aby w dochód katastralny uwierzyli, bo powiada tak: (dosłownie) *Potrzeba tylko grubego egoizmu pojedynczych dziedziców naszych, aby stwarzać niepotrzebne wcale przeszkody do urzeczywistnienia tak doniosłych haseł społecznych. Jeżeli tedy wobec ogólnie naprężonej dziś sytuacyi rolniczej, dobrze zrozumiany interes narodowy i prawdziwy patryotyzm nie zdoła stłumić całkiem wspomnianego uczucia, z moralnym upadkiem zawsze w parze idącego, rozbierane przez nas stosunki nigdy na lepsze zmienić się nie będą mogły*“.

Owóż ten *interes narodowy i prawdziwy patryotyzm*, są to listy zastawne i tym podobne obligacye, a *doniosłem hasłem społecznem* jest to katastralne ocenienie dochodu gruntowego, o którem cały kraj wie, że jest mylne, a W. Sejm z tego powodu uchwalił w r. 1880 przedłożyć prośbę Najjaśniejszemu Panu.

Rolnictwo w takim kraju jak Galicya, gdzie każdy działa po swojemu, gdzie jeden dla drugiego staje się obcym i stara się go oszukać na różne sposoby, upaść musi koniecznie. A jeżeli między rolnikami utrwalą się swary tego rodzaju jak w naszym wyłącznie rolniczym kraju i nie kończą się pośrednictwem ludzi dobrej woli a swój kraj miłujących, można być pewnym, że nawet dostatki możnych obywateli się nieocalą, bo tacy właściciele przyjdą do ubóstwa, do niesławy i zniknią, ponieważ siła pojedynczych jest zawsze wiotka. (C. d. n.)

*) Ob. wszystkie pisma krajowe za miesiąc wrzesień 1882 podczas obradującego Sejmu.
**) Ob. „Gaz Narod.“ Nr 222 i następne z r. 1882.

Z Nieustającej wystawy sztuk pięknych
we Lwowie.

Mieliśmy zamiar zastanawiania się nad innymi obrazami olejnymi, ale mimowoli musimy się wstrzymać, gdyż na wystawie nieustającej rozłożył się obozem nasz serdeczny i niezrównany p. Juliusz Kossak; a gdzie on z szeregami starych czy młodszych kompanionów rycerstwa polskiego zawita, to bierze szturmem pozycyę. Jego rzenie rumaków bojowych, szczęk szabel i mieczów, oddźwięk haseł i pieśni towarzyszy pancernych, lub ułanów z niedawnej naszej przeszłości, biorą w jassyr starych i młodych, wiążą nietylko oko, ale i duszę.

Jak wiadomo artyzm ilustracyjny do niedawnych czasów był u nas w kolebce, i dziejami narodu nie wielu się zajmowało adeptów sztuki. Oprócz pamiętników Paska, Maryi Malczewskiego, Pana Tadeusza, zbyt mało utworów tego rodzaju popularyzowało nasze dzieje narodowe i cenne dzieła literatury. Luźnych pejedyńczych kreacyj mamy wprawdzie dosyć, ale żaden z polskich artystów nie poszedł równym krokiem tak jak mistrz Jan Matejko w dziełach sztuki olejnych, a tylko nasz sympatyczny i ukochany Juliusz Kossak, tworzy całe legie ilustracyj, które setki, tysiące serc pobudzają do jednego tętna, rozświecają i zagrzewają wyobraźnię, i uczą tego, co już dzisiejszym pokoleniom bez tych wskazówek trudno nawet pojąć.

Do takich kreacyj i aby tak upornie niemi się tylko zajmować, nie dosyć być nawet jenialnym artystą, ale należy każdem tętnem serca odczuwać tylko jeden ideał, którym jest baczenie na sławę narodu, czyli miłość ojczyzny. Kto tak umie czuć, ten ma prawo nietylko nazywać się artystą, ale apostołem sztuki narodowej.

W ostatnich latach wziął prawie szturmem serca mistrz pióra, Henryk Sieńkiewicz, który dzieje przeszłości i żywot naszych praojców odtwarza jakby na jawie. Co tylko wyjdzie z pod jego pióra, to nietylko rozgrzewa i poucza, ale rozgorączkowuje, budzi nieznane dotąd uczucia w duszach nawet najzimniejszych. Mianowicie dwie jego powieści ostatnie „Ogniem i mieczem“ i „Potop“ umiały wzbudzić taki zapał i ciekawość, jak rzadko który utwor w naszej literaturze. Na każdym kroku spotykasz się tam z obrazami przeszłości, które ci dotąd albo zupełnie obcemi, lub też przedstawiały się w zbyt mglistych i błędnych konturach. W każdéj scenie tych dziejowych obrazów czujesz życie i prawdę i jakkolwiek sobie uosabiasz pojedyncze postacie, stają one tak wyraźnie przed wyobraźnią, że ich inaczej pojąć nie można.

Nie dziwimy się też wcale, że te dzieła rozlewające na okół takie bogactwo myśli, musiały znaleść oddźwięk w duszy naszego Juliusza Kossaka, który przejęty niemi na wskróś, uchwycił w rękę pędzel, aby z prawdziwie młodzieńczym zapałem przedstawić ze stanowiska sztuki i odczucia te skarby narodowi. A trzeba być zaiste tak płodnym, jak nasz ojciec Juliusz, by w krótkim czasie wykończyć tak liczny szereg tego rodzaju obrazów. Płodność jego utworów jest zdumiewającą — a w rzadkich tylko wypadkach przedstawia on to, co stoi poza granicami Polski i Rusi. Polska i Ruś — to jego najwyższy ideał, który ucieleśnia jego duch artystyczny.

Nie można się też wcale dziwić, że gdy na wystawie nieustającej umieszczono 12 epizodów jego z powieści Sieńkiewicza „Ogniem i mieczem“, zwiedzający wystawę pomija wszystkie inne dzieła sztuki, a przedewszystkiem podąża i staje przed temi najnowszemi kreacyami. Nie dawno przeczytane dzieło przychodzi w pomoc wyobraźni i jakby po świetnej uczcie, nasyca oko i ducha temi lukulusowemi wetami, bo smaczniejszemi dlań, aniżeli wszelkie marcypany i tokaje. Fantazya twórcza artysty, jego znajomość i odczucie charakterów, a przedewszystkiem archeologii narodowej i tej, która stoi z nią w łączności ścisłej, dozwalają artyście hulać pędzlem po kartonie i dawne zmartwiałe prochy pobudzać do życia. To też aczkolwiek utwory Kossaka tkane są na jednej i tej samej kanwie, nie nużą oka, lecz go nieustannie zaciekawiają nową sceneryą, żywością barw, które zawsze świeże, zawsze ponętne.

Przypatrzmy się pierwszemu obrazowi: „Spotkanie Skrzetuskiego z Chmielnickim na Dzikich polach“, przy świetle księżyca i płomieni obozowych. Jakżesz tu artysta świetnie wyzyskał tę sceneryę nocną, ileż tu prawdy w tym dziejowym momencie żywota żołnierskiego. Lecz niepodobieństwem jest poddawać krytyce każdy obrazek z osobna i we wszelkich szczegółach. W następnym obrazie „Przygoda w drodze do Łubniów“ wdzięcznie się przedstawia Helena z ułaskawionym sokołem, obok tej ówczesnej hic mulier księżnej Kurcowiczowej. A pan Skrzetuski na swym siwku!

O takich rycerzach nie marzyć już dziewojom naszego wieku! Najciekawsza jednakowoż jest dla nas postać pana Longina Podbipięty; a jest ona tak pojęta, że jej sobie wyobrazić inaczej w żaden sposób nie można. Pochód Chmielnickiego z Tuhajbejem stawił artystę w trudnem zadaniu, bo w konkurencyi z Brandtem, który jest twórcą na podobny temat świetnego obrazu p. n. „Powitanie stepów“. Ale kreacya p. Juliusza daje i widzowi krytykowi twardy orzech do zgryzienia i trzeba mieć bardzo wiele odwagi, aby tamtemu lub temu dziełu oddać pierwszeństwo, a nawet gdyby przyszło oceniać tylko tych artystów jako malarzy koni, to zachodzi pytanie, czyby p. Juliusz nie zwyciężył. Pochód ten rzeczywiście żyje i brzmi pieśnią kozaczą.

Scena napadu Bohuna na Kurcewiczów w Rozłogach jest to epizod wysoce dramatyczny a ujęty

---

Nigdy może w życiu od nikogo nie doznałem tyle uprzejmości, ile od tego urzędnika pruskiego; był tylko mną zajęty, ze mną rozmawiał. Jak najtroskliwiej wypytywał się o wszystkich moich kuzynach i kuzynkach odolanowskiego powiatu, im załączał serdeczne ukłony i pozdrowienia. Pan B. wyręczał mnie w odpowiedziach, nie dając mi przyjść do słowa.

Z początku byłem skonsternowany samem zjawieniem się dygnitarza pruskiego, lecz w krótce odzyskałem całą przytomność i zajęty byłem głównie piwnicą i raczeniem nowych znajomych.

Od moich kuzynów odolanowskiego powiatu p. landrat przeniósł rozmowę na tok bieżącego powstania, a szczególniej na jenerała Mierosławskiego, nie zapominając bynajmniej o piciu i jedzeniu, w których to czynnościach trzymał przodownictwo, jak w czynnościach powierzonego mu powiatu.

O tym ostatnim szczególniej się rozgadał, a mianowicie, jak będąc aplikantem przy policyi w 1846 r. rozwinął nadzwyczajną czynność i cały rozum policyjnego urzędnika, aby złapać herszta sprzysiężenia, co mu się udało w zupełności i o czem nie zaniedbał najdrobniejsze szczegóły opowiedzieć.

I teraz on czatował na niego, ale mu się nie udało. Tłumaczył się tem, iż nie jest Bogiem, że nie mógł wszystkiego wiedzieć i nie jego wina, że Mierosławski przekradł się przez jego powiat. Jednak zaręczał że to jest nieprawdą co napisała Posener Zeitung, iż Mierosławski przejechał przez Inowrocław „mit zwei Kannonen“. Zacny urzędnik pruski zaręczał, iż to jest niegodna potwarz i nic więcej.

Lecz wszystko ma swój koniec na tym świecie i czułe spotkanie z pierwszym, a Bóg da i ostatnim landratem IMci króla pruskiego wkrótce się skończyło jak najserdeczniejszym podwójnym uściskiem.

Zaledwie co pruscy goście wyszli jednemi drzwiami, gdy drugiemi wpadł właściciel sklepu wraz ze swoim subjektem, trzymającym w ręku ogromną baranią szubę.

„Nie ma czasu do stracenia“, odezwał się szanowny kupiec: oto jest rachunek pański, to jest reszta pieniędzy, które mi pan dałeś do zmienienia. Doróżka czeka w pogotowiu, ubierz się pan w szubę i czapkę, aby pana nie poznano, subjekci moi przeprowadzą pana“.

Ubrany w szubę i w ogromną jak kopica siana czapkę, pożegnawszy pana B. i gospodarza sklepu, wyszedłem tylnemi drzwiami na dziedziniec już zamkniętej kamienicy. Poczciwi subjekci zrobili mi przejście, urządziwszy olbrzymie schody ze skrzyń, do nowo budującej się kamienicy sąsiedniej i poprzedzany zawsze przez subjektów, przeszedłem ją i znalazłem się we wnętrzu fiakra, któren mnie zawiózł w bezpieczne miejsce do poczciwego młynarza.

Otrożność ta nie była zbyteczną, gdyż po moim wyjściu królewscy żandarmi wpadli do sklepu, chcąc ze mną zabrać bliższą znajomość. Wyraźnie okazuje się, że znajomość zabrana z p. landratem przy kieliszkach jak najwybredniejszych win, znajomość, która mnie kosztowała czterdzieści dwa talary, była dla nich niewystarczającą. I tą razą zawiodłem ich oczekiwanie.

Nazajutrz zacny obywatel B. zawiózł mnie o dwie stacye od Inowrocławia, kupił dla siebie bilet i za nim dojechałem do Bydgoszczy.

Tu nowa trafiła się przeszkoda, jedyny stół, długi na kilka sążni, jaki znajdował się w restauracyi, był literalnie zajęty przez oficerów i urzędników po wojskowemu ubranych, jak regulamin służbowy nakazuje. Jedyne miejsce było wolne, ale na nim leżały groźne pikielhauby i czapki pruskie. Chwila była decydującą, jedna niezręczność z mojej strony przyprawić mnie mogła o zgubę. Mój strój powstańczy na wskróś przesiąknięty dymem; twarz sama ogorzała od wiatru i dymu obozowego, myśliwska torba, wszystko to wskazywało czem byłem. To też wejście moje zwróciło uwagę gości restauracyi i zdawało mi się, iż na pulchnem obliczu gospodarza przebiegł uśmiech, jakby chciał powiedzieć: otóż go macie. Przekonałem się po chwili, iż rozmowa toczyła się wyłącznie o powstaniu polskiem i że oficerowie okazywali mniej nienawiści od urzędników.

w chwili, gdy Kurcewicz niewidomy, a raczej z jamami krwawemi, gdzie były oczy, pojawia się jak widmo, niosąc krucyfiks w ręku, i obok niego Helena. Tu po raz pierwszy widzimy Bohuna pojętego tak, jak on rzeczywiście mógł się przedstawiać: Piękność męska, rycerskość postawy, ucieleśnionej odwagi, z objawami dzikości tabuna stepowego, wychowanego na kulbace wirów walk, mordów i pożogi. Nie możemy się jednakowoż zgodzić na ślepego Kurcewicza, który w pojęciu takiem jak go Sieńkiewicz przedstawił w tej scenie, nie był starcem jak go nam daje p. Juliusz. Natomiast pyszny jest sobie Zagłoba, wyzierający ze swej chwilowej kryjówki.

Aż się serce rwie do księcia Jeremiego na mogile, który stoi obok krzyża na świetnym rumaku bojowym z podniesioną szablą w górę, gdy przed nim defilują pułki autoramentu cudzoziemskiego i narodowego rycerstwa. Jacyż to byli ludzie, jacy rycerze, i z jakąż pokorą dzisiejszym skarłowaciałym potomkom przychodzi podnosić wzrok ku tym wielkim bohaterom w zbroicach stalowych i o szeleszczących orlich skrzydłach husarzy.

Pan Podbipięta z Pułjanem pod Konstantynowem, którego wśród zaciętego boju porwawszy i zarzuciwszy na kulbakę przed siebie, unosi, ten świątobliwy rycerz, który zrobił sobie votum wtenczas dopiero uczynić rozbrat z kawalerskim stanem, gdy swoim „Zerwikapturem“ zetnie od razu trzy głowy jakich pohańców. To znowu jeden z „meistersztyków“ p. Juliusza.

I znowu Zagłoba — zdobywa sztandar, ten nieporównany szlachcic rembajło, z trapiącem go nieustannie pragnieniem, trefniś i jowialski, jakiego Sieńkiewicz stworzył.

Mamy znowu przed sobą pojedynek Wołodyjowskiego z Bohunem. Grupa sekundantów z Zagłobą pyszna, dzielne postacie Bohuna i Wołodyjowskiego, ale żałować należy, że temu ostatniemu wsadził p. Juliusz widocznie przez pomyłkę zupełnie inną głowę na barki. Tu panie Juliuszu dałeś nam rzeczywiście małego rycerza, który jakby Dawid walczy z Goliatem, nie tak łatwo da się zjeść w kaszy, ale to nie Wołodyjowski! Oczywiście, pomyłka jakaś zaszła, gdy mu artysta na tym obrazie głowę przyprawiał.

Niestety ten sam zarzut powtórzyć musimy w obec pysznej sceny, gdy Helena z Zagłobą, Wołodyjowskim i Rzędzianem w ucieczce z Czortowego jaru się przedstawiają. O ile te figury świetne, to znowu Wołodyjowski siedzi z nieswoją głową na koniu. Ojcze Juliuszu, co Wam się stało? Prosimy, jak to my lwowianie zwykliśmy mawiać: — „dokoniecznie“ o prawdziwego Wołodyjowskiego. A nareszcie i o fizyognomii Heleny moglibyśmy jeszcze coś powiedzieć na ucho. Wygląda ona tu tak, jakby tylko całe życie po bezkolcowych różach stąpała, a żadna chmurka nie zawisła nigdy nad jej czołem. Pulchniutka, a niezawodnie i rumieniutka i może zanadto dobrze przedstawia cyganeczkę, lub Ulanę, urodzoną w jarze stepowym.

Ale zapominamy o tych usterkach, gdy patrzymy na śmierć Longinusa Podbipięty, który z Zerwikapturem w ręku naścieliwszy trupa, kończy rycerski żywot nie zwyciężony, ale zamordowany, przez pohańską czerń.

Do dziwnie efektownych kreacyj należy przeprawa Skrzetuskiego przez staw, w chwili gdy omija Tatara drzemiącego na czatach, a przed sobą spostrzega trupa topielca. Krajobraz Zbaraża i obozowiska tatarskiego w nocy przy świetle księżyca, dziwnie udały, a traktowany w tonach, czyni perspektywę świetną.

Ostatnim obrazem jest scena, gdy Skrzetuski staje przed królem w Toporowie. Obraz ten ma już prawo do nazwy dzieła historycznego, gdyż Jan Kazimierz, Ossoliński i inne wybitne postacie, odtworzone są z ówczesnych portretów. Cały ten epizod powieściowy odznacza się dziwną powagą i uprzytomnia ówczesny wiek.

Całe to dzieło artystyczne w 12 obrazach jest własnością hr. Jerzego Borkowskiego, któremu zaiste pozazdrościć można takiego świetnego nabytku. Z czego się jednakowoż również cieszyć należy, to że ta pyszna scenerya dziejowa nie pozostaje tylko własnością w ukryciu tylko jednego szczęśliwca, ale staje się od razu popularną. Zawdzięczyć zaś to należy rzutkości i przedsiębiorczości w popularyzowaniu narodowych dzieł sztuki p. Trzemeskiego, właściciela naszego zakładu fotograficznego we Lwowie. Gdyby nie jego cywilna odwaga i nieustający postęp reprodukcyjny, to nie tak prędko odważyłby się ktośkolwiek zaryzykować tak znaczny kapitał, aby wprowadzić w życie pracownię fotodruków artystycznych, które jedynie jeszcze mogą chociaż w części zastąpić nader kosztowne, a więc nie na nasze fundusze miedzioryty. P. Trzemeski nic nie szczędził, aby zakład swój postawić pod względem fotodruków na odpowiedniej stopie artyzmowi polskiemu. Jeżeli jednak się rozważy, ile dotąd zaryzykował, a z drugiej strony uwzględnimy, jakie trudności mu się nastręczą, aby na razie chociaż koszta nakładu były pokryte, to byłoby trudno mniemać, że tę przedsiębiorczość spowodowała tylko chęć zysku, a nie inne, szlachetniejsze poczucie. Znamy przecież fotografów nawet w Galicyi, którzy mieli świetne czasy, zdobyli krociowe majątki, a stawiali sobie nawet pomnikowe pałace, jako wrzekome świadectwa własnej pomocy. Ci panowie jednak zapomnieli o dalszym postępie, co są winni krajowi i pozostawiają to tym, co ciułają dzisiaj grosz do grosza nie na bardzo płodnej niwie. P. Trzemeski nie wystawił sobie dotąd wprawdzie pałacu, ani też nie spekuluje oddając zarobek na wyższe procenta, ale należy do tych przemysłowców, którzy może nie są dla każdego pojedynczo sympatyczni, pomimo to zasługują jednakowoż na uznanie.

Dla tego też z serca życzymy p. Trzemeskiemu, aby jego reprodukcye z dzieł Juliusza Kossaka i inne, na które nałożył tak przystępne ceny, znalazły się jak najprędzej pod każdym dachem, gdzie poczucie piękna i sztuki narodowej znajduje oddźwięk w sercach i umysłach.

* * *

P. Krzesz, rzeczywiście bardzo utalentowany młody artysta, który dotąd z prawdziwym pietyzmem usiłował naśladować mistrza swego Matejkę, i troszkę zawcześnie rzucił się na wielkich rozmiarów płótna, jak to w r. zeszłym przedstawiała bitwa pod Orszą, przyrzedł do przekonania że talent artystyczny nie powinien jedynie ślepo naśladować, lecz wykazać samodzielność. Że p. Krzesz ma szczęśliwe chwile takiej intuicyi, można się było przekonać z portretu kobiety w stroju XVI wieku. Obrazek ten zjednał sobie uznanie. Jak nas zapewniano, artysta postanowił wyzwolić się z niewolniczego naśladownictwa i zaczął malować obraz który co tylko przysłał na wystawę lwowską. Jest to płótno średnich rozmiarów, a kreacya ta zatytułowana: „Przechwałki wojenne“. Scenerya cała jest średniowieczna, rodzajowa. Przedewszystkiem chcąc sobie wyrobić jakiekolwiek pojęcie o tym obrazie i zrozumieć go, należy dobrze głowę łamać, co artysta chciał osiągnąć, i o co mu właściwie chodziło. O ile nam się zdaje, nie myślał o treści obrazu, ale głównie, aby uwidocznić swój zwrot kolorystyczny, który zapewne chciał nazwać samodzielnym. Treść albowiem obrazu jest prawdziwą łamigłówką dla przeciętnego Polaka, Niemca, Anglika, Francuza; bo chociaż figur jest tylko kilka, to jednak przedstawiają one taki konglomerat narodowościowy, że nie można w żaden sposób zrozumieć, w jakim kraju się scena ta odbywa. Rzecz dzieje się na baszcie jakiegoś obronnego zamku przy zachodzie słońca. Jakiś rodzaj Don Kiszota, włóczącego się za lafą żołdownika, jest tu główną personą. Ze to jest blagier i samochwał, a po za tem może obrzydliwy tchórz, to się udało rzeczywiście artyście przedstawić. Blagier zaś opowiada, a słucha go rozgapiony i pełen ciekawości jakiś ciura zamkowy, okryty jakby co tylko wstał z legowiska w sukmanę z kapturem, jaką dziś widzisz w okolicach Lwowa lub Sokala.

Drugi taki osobnik leży rozciągnięty jak lazaroni włoski na ziemi, a widać że go bawi ta blaga, w jaką Don Kiszot ówczesny ubiera jeszcze halabardnika i kilku innych słuchaczy.

Najlepszą postacią jest na pierwszym planie żołnierz polski, przybrany w kolczugę i misiurkę stalową, a siedzący na lawecie armaty. Na ostatnim zaś planie umieścił artysta dwie w cudzoziemski, niemiecki czy flamandzki strój przybrane figury; mają to być zapewne dwaj puszkarze czyli artylerzyści cudzoziemskiego autoramentu, tak jak ich koledzy na przedzie. Scena odbywa się przy zachodzie słońca. Potrzeba mieć bardzo bujną wyobraźnię i posiadać wielką domyślność, aby zrozumieć i pojąć cel tej kreacyi. Scena wprawdzie w układzie efektowna, ale chociaż to tylko obraz rodzajowy, nie możemy zrozumieć artysty, co go spowodowało, dla przedstawienia jedynie takiego blagiera włóczęgi, najmity żołnierskiego, poświęcać tyle płótna, farb i pracy. Dodajmy, że jakkolwiek figury są wcale poprawnie i z natury rysowane, to w kolorycie widać wprawdzie chęć wyłamania się artysty z ślepego naśladownictwa, ale obrazowi bardzo jeszcze wiele brakuje, aby go nazwać wykończonym, aby technika kolorytu rozłożoną była według warunków perspektywicznych. Przeciwnie, oprócz rycerza polskiego, siedzącego na lawecie i mniej więcej figur na drugim planie na prawo przy baszcie, mianowicie tej, która dzierzy jakiś sztandar, wszystkie inne figury przedstawiają się w chaosie kolorystycznym, jakimś zamazanym, rozlanym, niepewnym co do konturów i szczegółów draperyi. Obraz ten nie może mieć pretensyi do wykończonego dzieła sztuki. Artysta miał wprawdzie pole, gdyby był skorzystał z efektów, jakie nastręcza zachodzące słońce. Scena jakabądź odgrywająca się na wyżynie baszty, dawała szerokie pole do popisu; ale z tego p. Krzesz nie skorzystał, a nawet samego krajobrazu nie można nazwać wykończonym, bo jest zaledwie pospiesznie nałożony.

Poddając tę kreacyę tak surowej krytyce, czynimy to z tego powodu, że nie odmawiamy

---

Nie zważając na czapki pruskie, usadowiłem się na jedynem krześle niezajętem, przywołałem kelnera i kazałem sobie podać cennik win. Wybrałem jakie było wino najdroższe, było to zdaje się wino reńskie na dwa talary pół butelka.

Wybór wina, mój akcent paryski, zrobiły swój skutek; sam tłuściutki gospodarz, który powitał przed chwilą mnie z uśmiechem lekceważenia, przyniósł mi z głębokim ukłonem naprzód zastawę stołową, a następnie wino i odtąd on mi tylko jeden posługiwał i zawsze z głębokim ukłonem.

Półbutelka owa wina zrobiła wrażenie nietylko na restauratorze; szanowni goście, tak butni i dumni ze swego pruskiego munduru usunęli się odemnie, zabrawszy swoje czapki i pikielhauby i ucięli rozmowę o powstaniu.

Jeść mi się zupełnie nie chciało; dla zabicia jednak czasu, ponieważ miałem całą godzinę do odejścia pociągu, kazałem kolejno sabie podać kotlet barani i bifsztyk. Pierwszy obstalowałem z wyrachowaniem. Niby nie wiedząc, iż Prusacy, a tembardziej poznańscy, nie posiadają wyłącznej rasy baranów przeznaczonych do rzeźni, jakie ma zachodnia Europa, okazałem wielkie zdziwienie z zapachu naszej poczciwej baraniny i naiwnie zapytałem gospodarza, co zapach ten ma oznaczać?

„Teraz wiem, iż pan jesteś paryżaninem czystej krwi“, odrzekł mi gospodarz. „Znam ja Paryż i wyznaję, że nasz rodzimy baran nie mógłby się pokazać na stole francuskim“. Udałem, że gospodarzowi nie wierzę i kazałem sobie podać bifsztyk. W tym ostatnim znalazłem, iż mięso nie jest so czyste i pochodzi bezwątpienia z bydlęcia spracowanego, co niemiec potwierdził. Wprowadziłem go jednak w dobry humor, zapewniając, że mu zapłacę i za kotlet i za bifsztyk, a tymczasem kazałem sobie podać sera francuskiego zwanego Rocfort, a następnie kawy czarnej i najlepsze jakie miał cygaro.

Lecz mój plan był dalej sięgający jak podbicie serca pruskiego restauratora, potrzebowałem bowiem kupić bilet do Belgii, czego bez paszportu uczynić nie mogłem. On mnie miał załatwić tę sprawę.

Wyjąłem papierek sto-talarowy, kazałem mu odciągnąć, to com u niego zjadł i wypił, talara bitego rzuciłem kelnerowi, a gospodarza prosiłem, żeby mnie ostrzegł, kiedy będzie kasa otwarta na pociąg pośpieszny paryski.

„O! bądź pan spokojny! wykrzyknął patetycznie restaurator. Takich gości umie się usługiwać“

I rzeczywiście zanim ukończyłem czarną kawę przybiegł do mnie ten szanowny pruski obywatel i z pokłonami prosił mnie, jakby o jaką łaskę, abym mu dał pieniądze na kupienie biletu.

Nie myślałem bynajmniej odmówić jego prośbie, pieniądze mu dałem, a za chwilę byłem szczęśliwym posiadaczem biletu I. klasy*) do Liége (Leodium).

Takim sposobem wywinąłem się Prusakom ich łap.

Wprawdzie na kolei nie byłem zupełnie bezpieczny, ale od publiczności doznałem takiej opieki o jakiej i zamarzyć nie mogłem, a która wyrobiła we mnie szacunek dla wyższej klasy społeczeństwa pruskiego.

Do wagonu raz dostawszy się uczułem całe znużenie po pracach obozowego życia; gdzie nie miałem ani jednej nocy wolnej, gdyż jenerał Mierosławski przydzielił mnie kucie i osadzanie kos. lanc, naprawę rynsztunku bojowego, robienia zasieków, a szczególniej budowę kosynierskich wozów, do posiadania których przywiązywał jak największą wagę, a z postępu robót kazał mi kilka razy w nocy składać raport, a raz, jak w wigilię bitwy pod Nową wsią, co godzina.

To też usunąwszy się w kąt drzemałem i zdaje się przez sen wydawałem jęki. Pamiętam tylko tyle, iż nigdzie na jednem miejscu w jednej pozycyi wysiedzieć nie mogłem.

Współtowarzysze podróży ztąd wnieśli, że jestem albo rannym albo chorym Polakiem lub Francuzem.

*) Zdaje mi się, iż iechałem I. klasą, ale być może że drugą. Ile zapłacił za bilet p. restaurator, nie pomnę, bo na pieniądzach pruskich nie znałem się.

wielkich zdolności p. Krzeszowi. Ma on zupełne prawo do miana utalentowanego artysty, gdyż talent ten widoczny jest nawet w tym obrazie. Nie wątpimy ani chwili, że p. Krzesz zajmie nawet wybitne stanowisko w sztuce polskiej, jeżeli — opuści jak najprędzej Kraków, pojedzie do Monachium, Paryża lub Rzymu, gdyż tam tylko jedynie wyzwolić się może z tych więzów, nawyczek i pojęć, jakie go w Krakowie krępują. Nie pierwszy on usiłował ślepo iść w ślady mistrza Matejki. Otóż w naszem pojęciu do pewnego czasu, dopóki młody adept sztuki przechodzi pierwszą erę nauki i stawia pierwsze kroki, to naśladownictwo takie jest jeszcze do usprawiedliwienia. Trzymać się jednakowoż takowego na ślepo, to oznacza, jakoby uczeń chciał konkurować z mistrzem. No — z nauczycielem rysunków lub malarstwa, to jeszcze moglibyśmy pojąć; ale stawać w szranki z takim mistrzem jak Matejko, to rzecz co najmniej bardzo niebezpieczna, bo adept sztuki stanie się nareszcie dobrym kopistą, lecz samodzielność jego zostanie raz na zawsze zabitą. Dla p. Krzesza mamy wiele życzliwości. Poznaliśmy jego pracownię, jego studya i jego pilność; wiadomo nam, że się na artyzm zapatruje poważnie, rozumie on dobrze, że potrzeba pilnie i nieustannie pracować; ale właśnie te cnoty nie są dla nas przeszkodą, aby o nim mówić otwarcie. Pojmujemy zresztą tę jego chwilową reakcyę wewnętrzną i jesteśmy pewni, że wkrótce będziemy mogli przyklasnąć artyście kreacyi, jaką przeznaczy na widok publiczny.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

KRONIKA.

Do tych Szan. Prenumeratorów *Strażnicy polskiej*, którzy zalegają z przedpłatą za ubiegłe półrocze i do tych, którzy tak opieszale nadsyłają na nowy kwartał.

Oświadczamy, że nieregularność ta stawia wydawnictwo w nader trudnem położeniu i pod żadnym warunkiem nie daje możności regularnego wydawnictwa. Upraszamy więc gorąco o uwzględnienie naszej prośby i wyrównanie zaległości jak najprędzej.

Wdzięczność i cześć szlachetnemu. Znajdując się w nader trudnych warunkach materyalnych, wycieńczony mozolną a niewdzięczną pracą, uległem od dość dawna ciężkiemu cierpieniu piersiowemu. Z braku odpowiednich środków do leczenia się, musiała nareszcie nastąpić katastrofa, która objawiła się gwałtownymi wybuchami krwi. Pozbawiony środków, nie mógłem prawie marzyć o troskliwej pomocy lekarskiej jeżeli nadmienię, że mieszkam na odległem przedmieściu Zółkiewskiem, gdzie chcąc aby lekarz chorego regularnie odwiedzał, należała by mu się słusznie odpowiednia zapłata. Rodzina moja w rozpaczy, widząc mię prawie kończącego żywot, udała się do p. Dra Edmunda Schmidta, zamieszkałego przy ulicy Kopernika. Ten szlachetny człowiek nie wahał się przybyć natychmiast na zaułek Zółkiewski, wśród zimy, w nocy, wstawszy wprost z łóżka. Jego przybycie do mnie, było jakby pojawieniem się anioła stróża, a nie tylko uzdolnionego lekarza ciała. Od tej chwili otoczył mię taką troskliwością lekarską, takiem ciepłem bratniego serca, iż mi słów brakuje, aby módz wypowiedzieć, ile mu wdzięczny jestem. A nie była to opieka chwilowa, bo trwająca blisko trzy miesiące. A przecież nie mógłem Go nawet wynagrodzić w zwykłem słowa pojęciu, bo nie tylko za wizyty, ale nawet za doróżki nie przyjmował zwrotu. Ze więc dziś żyję i nie osierociłem starej matki i sióstr zawcześnie, mam tylko temu szlachetnemu mężowi do zawdzięczenia, który mię nieznanego Mu, poświęceniem swem uratował.

Bóg Ci zapłać szlachetny Mężu, bo mnie nie stać na inną podziękę! *Fryderyk E. Kahofer*
redaktor „Osy“.

Dowiadujemy się w ostatniej chwili, że w gronie członków Rady miasta Lwowa, zorganizowała się pewna grupa, która postanowiła za jaką bądź cenę, usunąć ze stanowiska delegata Fundacyi Skarbkowskiej p. Wiktora Świsterskiego.

Nie chcemy po prostu wierzyć tej pogłosce, bo wobec niczem niezbitych faktów, ile zasług położył p. Świsterski na stanowisku delegata do Fundacyi, to takie usunięcie i podszczuwanie do niego, tylko byłoby w interesie tej kliki, czyli jak ją nazywamy „czarnej bandy“, a o to przecież nie można posądzić naszych członków nowej Rady miasta. Zresztą, p. Swisterski jako przemysłowiec, nabywał potrzebne wiadomości co do ducha Fundacyi przez lat 3. a czego następca jego dopiero musiałby się uczyć; zmiana więc taka nie jest pożądaną.

Złodziejskie praktyki w Banku kryłoszańskim. Chociaż sprawa przed sądem karnym z Bankiem ruskim została ukończoną, nic to nie przeszkadza, że wychodzą na wierzch coraz ciekawsze operacye, w jaki sposób dopuszczano się w tym banku rabunku. Ta nowa próbka, która dopiero teraz ujrzała światło dzienne, dowodzi, że funkcyonaryusze banku składali się z szajki złodzieji, a jaka ich buta po dziś dzień, niechaj sam fakt pouczy.

Oto pewien paroch gr. kat. obrządku, zamieszkały w głębokich górach Karpat, na lichem probostwie, zdołał uciułać 1000 zł., i postanowił pieniądz ten ulokować na procenta, aby stanowił posag dla córki, gdy ta dorośnie. Rzeczą naturalną, że gdy bank kryłoszański sławiony był jako wielki czyn i ognisko patryotycznej pracy ekonomicznej, że i poczciwy paroch, który w rzadkich tylko wypadkach opuszcza swe góry, przybył do Lwowa, a wstępując z pietyzmem patryotycznym do Banku ruskiego, złożył tam do kasy te 1000 zł. i otrzymał natomiast książeczkę wkładkową. Powróciwszy do domu, zamknął tę książeczkę w bezpieczne miejsce z postanowieniem nie ściągania nawet procentu od kapitału, aby się w ten sposób kapitał pomnażał. Przez 10 lat nie zajrzał do Lwowa, a natomiast corocznie w zimowej porze obliczał i rachował, ile to już przybyło procentu i procentu od procentów; a gdy po raz ostatni dokonał obrachunku u wszelką dokładnością, zatarł ręce z radości, gdyż kapitał złożony na książeczkę w Banku ruskim przedstawiał cyfrę przeszło 1800 zł. Lecz ta radość miała być wkrótce zamąconą, gdyż jakiś poczciwy przyjaciel doniósł mu, że Bank się wali, a więc niechaj jak najspieszniej podąży do Lwowa, by na książeczkę wkładkową póki czas odebrać pieniądze. I rzeczywiście po 10ciu latach zjawia się po raz drugi w Banku kryłoszańskim z książką wkładkową w ręku. Książka przechodziła z rąk do rąk dyrektorów, kontrolerów, kasyerów, aż nareszcie jeden z „diejateli“ oddając książeczkę księdzu oświadcza, że mu się należy jeszcze tylko 5 zł. 37 ct., wyraźnie **pięć zł. 37 cnt.**

Poczciwy paroch górski roześmiał się, ale jakoś z dziwnem przeczuciem i oświadczył, że zapewne „pan diejatel z neho żartuje“; ten znów odpowiada, że tu żartów niema, bo jeżeli poprzednio kapitał już wybrał, to mu się tylko tyle należy jeszcze

— „Ależ ja nigdy nie wybierałem kapitału, ani jednego centa. Książka wkładkowa przez 10 lat leżała u mnie, nikt z nią do Lwowa nie jeździł, ba ja sam przez ten przeciąg czasu tu nie byłem. Zresztą gdybym był jaką sumkę podnosił, to by było uwidocznione i odpisane w książeczce wkładkowej, a tego tu nie ma.

— „Szczo tam wasza knyżka“ — odrzuca diejatel oburzony — ta nas nic nie obchodzi. My mamy nasze książki i tam jest uwidocznione, że pieniądze wybrane, a należy się jeszcze 5 złr. i 37 ct. (Ganz genau gerechnet). Poczem oddając książkę, zamknął okienko kasowe. Podobno szanowny paroch nie wybierał w słowach, jak się na ten rachunek i pokwitowanie zapatruje, ale widząc że przez to ani jednego centa nie odzyska, udał się na drogę sądową. (Nie pojmujemy, dla czego ta sprawa nie poszła wprost do c. k. Prokuratoryi Państwa. Red.) Trybunał wydał wyrok, aby Bank zwrócił parochowi te 1800 złr. Bank jednak nie zadowolnił się tym wyrokiem, i ze szczególną cywilną odwagą rekurował obecnie do wyższej instancyi. Zdaje nam się, że obrazek ten nie potrzebuje żadnych dalszych komentarzy, bo oświetla bengalską jasnością praktyki bandy tych znakomitych boryteli, którzy wchodzili w skład i do zarządu ruskiego Banku.

Mamy więcej takich obrazków, których nieomieszkamy ogłaszać, o ile miejsca na to starczyć będzie.

Obecnie kursują po mieście wieści, że przed niedawnym czasem zniknęła znowu z portfelu Banku ruskiego paczka weksli, wartości 49.000 zł. To co *Dniewnik warszawski* pisze, a więc organ moskiewski, wskazuje, że się już i w Petersburgu przekonano, w jakie to uczciwe ręce powierzono blisko 2 miliony rubli, i jak paczka renegatów, oszustów i złodzieji umiała ubrać w szory słynnych i znakomitych patryotów moskiewskich; bo że z tej olbrzymiej sumy, wydanej do wiernych rąk takiego apostoła jak otec Naumowicz, nie ujrzą wspaniałomyślni dawcy ani kopiejki, to o tem przekonany jest nietylko każdy wróbel na dachu lwowskim, ale i oni sami. Czy plany polityczne otca Naumowicza na tem nie ucierpią i czy uzna za właściwe przejeżdżania się jeszcze do Petersburga, Moskwy i Kijowa, to będzie rzeczywiście rzeczą ciekawą. Zdaniem naszem trudnoby otcu przyszło przekonać, że on nie znał drapieżnej natury tych, w których ręce składał te sumy. Otec Naumowicz był albowiem bardzo dobrze poinformowany o najmniejszych szczegółach i o charakterze złodziejskim każdego pojedynczego czynownika w Banku ruskim. Nauczka taka nic jednak nie zaszkodzi tym szczodrym opiekunom z nad Newy, bo bądź co bądź pieniądze te trafiły się Galicyi jak ślepej kurze ziarno.

To też ile razy wysiadałem z wagonu albo do niego wsiadałem, towarzysze podróży rzucali się tłumnie ku mnie z pomocą, a ile razy wchodziłem do restauracyi, tyle razy okrążali mnie zbitym szeregiem, biorąc mnie do środka, aby broń Boże żandarm jaki nie zaczepił.

Słyszałem jak jedni drugim polecali moją osobę ich opiece. W Berlinie wsadzili mnie do dorożki i kazali furmanowi zawieść do zachodniego dworca. mówiąc zarazem ile mam zapłacić mu.

Nie mogę na chwilę przypuścić, iżby postępowanie takie zacnych Niemców miało za pobudkę cele egoistyczne, jak przytoczone postępowanie landrata z Inowrocławia. Przeciwnie, wszystko każe wznosić, iż wyższe etyczne pobudki kierowały ich krokami.

Wprawdzie cztery tygodnie naprzód tą samą drogą spieszyłem do kraju i nasłuchałem się zanadto karczemnych epitetów ciskanych na nasz naród za to, że powstał w obronie swych domowych bogów, swoich rodzin, przenosząc śmierć raczej, jak hańbę niewoli.

Ale było to inne towarzystwo — była to pruska demokracya! Zaiste jeżeli socyaliści niemieccy rekrutują się z tego obozu; niemieckie rządy mogą spać spokojnie: ludzie tej kagetoryi mogą wprawdzie wywołać sprzysiężenie Katyliny, lub zapełnić legiony nowego Maryusza, albo też utworzyć tłumy sansculotów Marata, ale na tem ich czynność się kończy.

Dzieje nas uczą, że tylko wzniosłe cele, szlachetne pobudki zapewniają zwycięztwo rewolucyi. Gdzież w tych zezwierzęconych tłumach, o pojęciach nizkich — bydlęcych, można doszukać się czegoś wzniosłego, szlachetnego? Od was socyaliści przyszłość Niemiec i Europy nie zależy.

A wy Niemcy pomnijcie, że my i etnograficznie i historycznie należymy do Europy i że Europa musi należeć do europejczyków, a nie do kogo innego.

Moskwa nietylko etnograficznie należy do Azyi cała jej budowa społeczna, jej geniusz, pojęcia i praca historyczna, jeżeli się tak wyrazić można, to czysta Azya. Ale pomnijcie przedewszystkiem na testament Piotra Wielkiego i na historyę podbojów Rossyi, szczególniej cel tego reformatora carstwa.

Wprawdzie dzięki rozumowi politycznemu Bismarka i jego energii, ujarzmienie Niemiec przez Moskali jest uchylone, ale czy niebezpieczeństwo jest stanowczo usunięte? Odpowiedzcie sami.

Przypuśćmy na chwilę, że Rosya zdobędzie Indye wraz z trzystu milionami ludności, co dzisiaj jest tylko kwestyą dla niej czasu, że owładnie handlem całej Azyi, i zapytajcie się siebie co znaczyć będzie nasza olbrzymia, jak na teraz potęga? Moskwa nas zgniecie wprzód ekonomicznie tak, że bez boju nawet, jeżeli nie będziecie ostrożnymi, jej ulegniecie.

Tylko solidarność ludów i państw europejskich może uwolnić Europę od straszliwego losu, jaki jej Moskwa gotuje.

II.

Przybywszy szczęśliwie do Liége zająłem się powierzonym komisem, porobiłem umowy, rozdałem roboty, pilnując wykonania każdego szczegółu.

Roboty miałem dosyć. Mierosławskiego modele, własnoręcznie przez niego zrobione musiały być z gruntu przerobione; budował je bowiem człowiek nieobeznany z mechaniką, nie mający pojęcia o wytrzymałości materyałów. Często się zdarzało, iż sztuki już wygotowane musiałem zmieniać obmyślać inne środki mechaniczne, aby zapewnić wytrzymałość machinie.

Mówię tu głównie o wozach bojowych, owem ulubionem dziecku Jenerała Mierosławskiego. Siedm tornister jego, szczególniej dla strzelców, musiały być zmienione.

Robota tem była żmudniejszą dla mnie, iż uważałem wozy za broń niepraktyczną, a uproszczenie tornistrów strzeleckich za rzecz konieczną. Ale Mierosławski o tem sobie nie dał mówić. Za to z całą miłością zająłem się tornistrami kosynierskiemi, które uważałem i uważam za pomysł niezmiernie szczęśliwy i pierwej, lub później muszą być przyjęte przez wszystkie armie. Jest to torni-

Z targu lwowskiego. Na całym placu lwowskim jak była tak i jest stagnacya; bo chociaż ceny pszenicy znacznie się podniosły, to właściwie tylko idealnie, jeżeli nie ma tego złocistego ziarna w śpichlerzach, z których nawet myszy się już powynosiły. Jedyny u nas ruch sprawia jeszcze handelek nieustający *Gazetą narodową*, który tak szlachetnie zrodził znakomity i ofiarny hydropata z Fürstenhofu. Że p. dr. Jan Czerwiński nie posiadał widocznie nigdy ani jednej iskierki patryotyzmu, a jego ofiarność miała zupełnie inne cele, na to się już dzisiaj wszyscy godzą. Pokazuje się obecnie, że p. Czerwiński był tylko tym pomostem, który zbudowała jemu tylko właściwa cywilna odwaga, aby przygotować grunt pod bateryę sikawek i wzmocnić pozycyę na linii bojowej *Czasu* i *Przeglądu*. Zaledwie p. Liberat Zajączkowski, redaktor *Szczutka* i współwłaściciel drukarni Pilerowskiej ku powszechnemu zdumieniu raczył się poświęcić i dla *Gazety narodowej*, spotyka Lwów nowa niespodzianka, krążąca jako najpewniejsza wiadomość, że *Gazetę narodową* nabył znowu p. Władysław Łoziński i że maluczko, a p. Masłowski zwinie redakcyę *Przeglądu*, przekazując prenumeratorów *Gazecie narodowej*.

Mamy powód twierdzić, że wiadomości te nie są bezpodstawne, sprawiają jednakowoż i w innym kierunku sensacyę, gdyż do redakcyi *Gazety narodowej* wstąpili p. Hilary Jaworowski, korespondent *Nowej Reformy*, p. dr. Rutowski, były współredaktor, a obecnie również korespondent *Nowej Reformy*, i p. dr. Bernard Goldman. Połączywszy te siły z pp. Władysławem Łozińskim i Juliuszem Starklem, to mamy rzeczywiście przed oczami bardzo ciekawy konglomerat. Jedni twierdzą, że będzie to odrodzenie z prochów *Gazety narodowej* przez takich rodziców jak *Czas* krakowski i *Przegląd* lwowski, drudzy znowu mniemają, że jest to tylko po prostu konsorcyum handlowe pod firmą „uczciwego meklera", którego tu przedstawia p. Liberat Zajączkowski.

To są szczegóły, w ogóle zaś mamy przed oczami najsmutniejszy widok, gdzie zaszło dziennikarstwo lwowskie. Dzisiaj Lwów oprócz *Gazety lwowskiej*, urzędowej, nie ma poprostu dziennika politycznego, bo nawet *Kuryer lwowski*, który nie stoi w koleżeństwie z *Gazetą narodową* i *Dziennikiem polskim*, aczkolwiek nie można mu odmówić wielu stron dodatnich, nie jest jeszcze tem, czego wymagamy od pisma politycznego codziennego. Jest tylko *Kuryerek* i nic więcej.

W *Gazecie narodowej* i *Dzienniku polskim* nie dopatrzy się nikt jakichkolwiek zasad, a bije tylko w oczy handelek i frymarczenie zajęczemi skórkami, które się codziennie przewraca na inną stronę. Szczególniej w *Gazecie narodowej* talent tam jest niezaprzeczony. Zaiste, smutny widok tego strasznego rozbicia na atomy i ta groza otchłani bez wyjścia, do której się z każdym dniem zbliżamy.

Zapytujemy, gdzież jest to poczucie czci i obowiązków narodowych, gdzież jest siła, a przynajmniej ślad tych głośno trąbionych zasad patryotyczno-demokratycznych?! — Gdzie szukać tej ofiarności i łączności ducha tych, którzy ku wspólnej obronie idei narodowej winni się łączyć w jedno ciało? Tego wszystkiego nie można się już dopatrzeć w obecnem pokoleniu. To też nie dziw, że i najodważniejszym opadają ręce, a wszelkie usiłowania szlachetniejsze zamieniają się na pracę Syzyfa. Czy rzeczywiście już żaden głos, ani żadne hasło nie doda odwagi do uczciwszej pracy i nie otworzy oczów, dokąd dążymy?

Pisma codzienne doniosły niedawno o nagrodzeniu na konkursie artystycznym, dwóch prac, pana Mieczysława Zawiejskiego: „Dziewczynki" i „Staruszka". Wobec tego, nie obojętną będzie dla naszych czytelników, obszerniejsza o rzeczonym artyści wiadomość. Czerpiemy ją z dziennika włoskiego *Gazetta del popolo*. Pismo to, zamieszczając pochlebną wzmiankę o innej jeszcze pracy p. Zawiejskiego, tak się wyraża: „Wczoraj oglądaliśmy w akademji (Florencya, d. 7, grudnia r. z.), nową pracę młodego rzeźbiarza krakowskiego, który rozpoczął studya w Wiedniu, a od lat blizko dwóch, pracuje u znakomitego prof. Rivalta. Dowiadujemy się, iż prof. Rivalta, jest uderzony niezwykłym zaiste talentem Mieczysława Zawiejskiego. Ostatnia jego rzeźbia przedstawia „Obłąkańca". Obiór tak trudnego tematu jest dowodem niezwykłej odwagi; miał ją wszakże p. Zawiejski, a prawda jego utworu przekonywa nas, że pokonał zwycięzko wszelkie trudności. Głowa — modelowana i rzeźbiona z niezwykłą sumiennością i realizmem, przedstawia w istocie głowę obłąkanego. — Oko zamglone i błędne, usta usiłujące mówić, a głos uwięziony w gardle — są wyrazem okropnego cierpienia duszy. Wysiłek ów uwydatniony jest z niezwykłą prawdą i zmienia cały nastrój szyi, tak, że ta sama przez się, może uchodzić za studyum anatomiczne. Praca ta jest piękną i prawdziwą. Za wzór służy rzeźbiarzowi starożytny model, zużytkowany przez Dupré'go do posągu Kaina. Wielu artystów oglądało tę pracę i podobała się wszystkim. Publiczność będzie mogła podziwiać ją na następnej wystawie — obok innych dwóch pięknych popiersi — „Wieśniaka polskiego" i „Dziewczynki". Z talentem swym i pod kierunkiem takiego mistrza, jak Rivalta, zrobi p. M. Zawiejski piękną karyerę."

„Tydzień Piotrowski" w ostatnim numerze przytacza długą litanię dóbr ziemskich, sprzedanych na satysfakcyę towarzystwa kredytowego. Wdowin kupili Fiszel Aleksandrowicz i Abraham Rajchman, Antoniów włościanie Lisowski i Warwański; Branice Szmul Berkenwald, Dziwle i Majdany Truchowscy; Grabstów Abraham Szykier itd. I zasmuciła się dusza nasza nie dla tego, że ziemia przeszła w ręce Icków i Szmulów bo z nich będą ludzie jeszcze i dobrzy obywatele, ale dla tego, iż szlachta, codziennie wywłaszczana z posiadłości ojców, wywłaszczana, mówmy prawdę skutkiem nierządu, nieumiejętności gospodarowania. ma jeszcze czoło utrzymać, że jest pełną przyszłości warstwą społeczeństwa. Gdzie mianowicie to zdrowie widać, gdzie ono się przejawia, skoro właścicielom ziemi usuwa się ziemia z pod nóg?! Rozumiemy potrzebę przechodzenia majątków z rąk, do rąk, ale żeby na kilkanaście nabytków ani jeden nie padł we władanie uprzywilejowanej i wiekami do rolnictwa urobionej warstwy, to już chyba żadną miarą jej zdrowia niemoże być dowodem! — Pocóż tu więc duże słowa, kiedy fakta mówią przeciwnie.

Niemiecka dla nas życzliwość codziennie bogaci się faktami; nie tylko przygotowano deszcz stu milionowy celem wykupienia ziemi, ale oto w szczodrobliwości swojej, chcą jeszcze wszelkiemi sposobami ułatwić polskiemu ludowi miłą przejażdżkę za ocean. Oto dowód: jeden z łaskawych naszych korespondentów nadsyła nam z powiatu nadgranicznego, pięknie litografowany plakat, który agenci hamburgscy gorliwie rozszerzają z tamtej i tej strony granicy między ludem. Na jednej stronie tej karty, wymalowany jest bardzo ozdobnie parowiec; prujący fale oceanu, a z drugiej znajduje się następujący napis w języku polskim, który tu dosłownie kopiujemy:

„Do uwagi dla wywędrowniki. Ta karta musi kazdy na Bahnhofie w Hamburgu w ręce trzymacz albo na kapilusza przylepicz. Jeden od moich ludzie, który zawsze na Bahnhofie jest, gu do kwartira pokaże i mu we wszystkiem z radą i czynem służyć będzie. Na podróżu do Hamburgu trzeba od obsich ludzich (Faktori albo agenti) Adreskarti nie wziąść i ta karta na każdy sposób nie od ręce dajć. Georg Stoeckel, Hamburg Holl. Brook 21 Od sądu i regencya Hamburgski privilegowani General Atengt". Pana Stoekla zagrzewa zysk — to jasne, a władze pruskie patrzą na rozszerzanie tych kart z przyjemnością chyba. Czego jednak ci niemcy chcą od chłopów z tej strony granicy? — chyba sądzą, że im bardziej powiększy się ludność polska w Stanach Zjednoczonych, tym łatwiej będzie tam emigrować Polakom?! Szlachetnie i tanio. *(Przegląd tyg.)*

Jakie strzelby na psy rozdaje p. Switalski c. k. starosta w Kałuszu? Donoszą z Kałusza, że c. k. starostwo kałuskie wydało rozporządzenie, aby dnia 26. marca b. r. pozabijać wszystkie psy we wsi Kropiwniku z powodu podejrzenia o wściekliznę. Starostwo wydało to rozporządzenie tylko na doniesienie żandarmeryi, bez skonstatowania objawów choroby przez powiatowego weterynarza. Wójt gminy Kropiwnika otrzymawszy taki nakaz, udał się do p. starosty o poradę, co robić, jeżeli nie ma czem psów strzelać, gdyż we wsi nie ma ani jednej strzelby. Na to p. starosta: — „Czekajcie, ja wam poradzę!" — i wydał dwie strzelby, które leżały w starostwie Bóg wie kiedy jeszcze skonfiskowane. Przyniesiono strzelby do wsi i jedną z nich dano Filipowi Jakimczukowi. Ten spodziwając się, że p. starosta nie byłby złej strzelby dawał, nabił ją i przygotował się do wystrzału. Przy pierwszym strzale zniszczoną rdzą strzelbę rozerwało w kawałki, a Filipowi Jakimczakowi **urwało rękę**! Jakimczuk liczy dwadzieścia kilka lat, jest żonatym, ma rodzinę i utrzymuje się z pracy rąk. Któż teraz pytamy p. Switalskiego — będzie pracować na jego rodzinę i karmić jego drobne dziatki? Tu nasuwa się jeszcze pytanie, czy dotyczące władze nie mają innego sposobu postępowania w podobnych wypadkach? Czy nie lepiej byłoby zamówić oprawcę, któryby zajął się psami? W każdym razie ciekawa rzecz, kto nieszczęśliwemu wynagrodzi utratę ręki, kto zapłaci koszta leczenia? — Czy może gmina Kropiwnik? Ten wypadek powinien spowodować c. k. Namiestnictwo, aby podobnym wypadkom zapobiedz na przyszłość. *(Diło).*

Zarząd czytelni polskiej w Paryżu. Wiadomo iż dla braku dostatecznych środków materyalnych, Czytelnia polska zniewoloną dotąd była mieścić się w kawiarniach francuskich, co wielu z Rodaków naszych stawiało w niemożności korzystania z dzienników i pism krajowych.

Dla zaradzenia złemu i zdobycia odpowiedniego funduszu na wynajęcie osobnego lokalu, któryby służyć mógł zarazem jako miejsce zebrań polskich w Paryżu, Zarząd Towarzystwa postanowił urządzić Loteryę fantową i w tym celu odniósł się do ogółu członków z prożbą o wybranie Komisyi, którаby przeprowadzeniem tej myśli specyalnie zająć się mogła.

Dnia 13 lutego r. b. na ogólnem zebraniu Towarzystwa Komissya Loteryi fantowej wybraną została, a w skład jej weszli PP.: Odrowąż-Wysocki, W. Płauszewski i Jan Lipkowski.

Zawiadamiając o tem Szanownych naszych Ziomków, upraszamy ich o jak najczynniejsze i najgorliwsze poparcie Komissyi, czy to przez liczne nadsyłanie fantów, czy następnie przez rozebranie biletów.

---

ster-tarcza, któren dowolnie daje się nosić bądź na plecach, bądź jak torba myśliwska na tym, lub owym boku, bądź na piersiach. W tej ostatniej pozycyi tornister okrywa żołnierza od nóg po oczy i zabezpiecza go od kul karabinowych.

Rzecz dziwna, iż pomysł tak prosty nie został wpierw wynaleziony i zastosowany? Ileżby przez to oszczędziło się ludzi?

Nie mogąc wystąpić wprost przeciwko wozom i tornistrom strzeleckim, umyśliłem nakłonić Jenerała Mierosławskiego do zakupienia broni odtylcowej.

Właśnie zastałem u mego przyjaciela L. Bronne fabrykanta broni w Liége kilka karabinków o kalibrze 9 milimetrów z mechanizmem nadzwyczaj prostym odtylcowym, o lufie stalowej 60 ctm. długiej, a których celność strzałów przechodziła 500 metrów.

Pojmowałem doskonale, jakie olbrzymie korzyści odnosić byśmy mogli nad Moskalami; — posiadając je, moglibyśmy byli zmienić całą taktykę bojową.

W tym celu napisałem do niego list po francusku pod adresem Mr. Louis ze skromną propozycyą zakupienia 200 sztuk po 90 fl. czy nawet po 60 za sztukę.

Ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Gdy tak przepędziłem już jakie sześć lub siedm dni w Liége, nagle otrzymuję telegram o 10. wieczór tej treści: „Pierwszym pociągiem pospiesznym przyjeżdżaj z podpisem W. Mazurkiewicza szwagra Mierosławskiego.

Zdziwił mnie podpis, gdyż Mierosławski żegnając się z nami i zalecając nam jak najściślejszą tajemnicę, zapewniał, że nietylko szwagier nie będzie wiedział o jego przybyciu do Paryża, ale nawet własna jego siostra, którą tak kochał.

W godzinę później pędziłem całą siłą pary do Paryża, naprózno zapuszczając się w domysły nad tym telegramem.

O ósmej nazajutrz z rana byłem już w pomieszkaniu pana Mazurkiewicza, i natychmiast pojechaliśmy do chorego Jenerała. Przez drogę długą całą milę, jeżeli nie więcej, pan Mazurkiewicz w ogólnikach mówił o nowych i niespodziewanych nadziejach, i w mglistych słowach napomknął o projekcie wyprawy na Żmudź.

Zastałem Jenerała Mierosławkiego w łóżku mocno bladego. Przy łożu stał młody jeszcze, ale pełen rozumu i energii lekarz. W drugim pokoiku krzątały się kobiety, były to zakonnice — owe anioły opiekuńcze chorych, które za nędzne wynagrodzenie czuwają dzień i noc przy łożach słabych. Jenerał ujrzawszy mnie podał mi dłoń i cichym przerywanym głosem mniej więcej w te odezwał się słowa:

„Pomódl się Bogu; On z nami! Napoleon nie jest taki g.... za jakiego go miałem. Wyprawia nas na Żmudź — ową Żmudź świętą, o której zawsze marzyłem. Daje nam trzy okręta, trzy bataliony liniowe, batalion strzelców, bateryę artyleryi, szwadron jazdy, broni tyle ile zabrać będziem w stanie. Pieniędzy nam daje trochę za mało ale cóż robić? Bez taboru kosynierskiego nie ruszę się z miejsca, masą tylko zbrojnego ludu można pokonać Moskwę. A z kądże broni weźmiemy do uzbrojenia polskiego ludu? Wezwałem ciebie abyś mi przygotował 6000 tornistrów kosynierskich, tyleż kos i 24 wozów. Wszystko to ma być gotowe na 13—15 Marca najpóźniej. Liczę na ciebie, że wytężysz wszystkie siły i wykonasz co żądam. Wicuś (pan W. Mazurkiewicz) da ci 6000 fl. zaraz, powracaj do Liége pierwszym pospiesznym pociągiem, pozawieraj umowy, co dnia pisz raport o postępie robót; — pieniądze na każde twoje wezwanie otrzymasz".

Stary Jenerał mówiłby więcej, pomimo całej trudności wymowy, bo oblicze mu pałało i oczy dziwnym blaskiem świeciły, gdyby energiczny i stanowczy trzykrotny zakaz lekarza nie przeszkodził temu. Jenerał na pożegnanie wyciągnął rękę i skinął na szwagra, aby mnie zabrał z sobą.

C. d. n.

Prezes. W. Gasztowtt. — Kasyer, B. Rubach. — Sekretarz, C. Dygat.

Uwaga. — Uprasza się o nadsyłanie fantów na ręce Pana B. Rubacha, 15, rue Lamandé

Bilety nabyć można: W Redakcyi „Kurjera Polskiego w Paryżu“, 3. rue du Four, w Redakcyi „Tygodnika“ 8, Avenue Portalis, i u PP. Odrowąża-Wysockiego. 3. rue Mariotte, Walerego Płauszewskiego, 132 Avenue de Clichy, Jana Lipkowskiego, 4. rue Bailly, i w Szkole Polskiej, 15, rue Lamandé.

Cena biletu 1 fr.

Szwajcarski Sąd Związkowy w Lozannie odrzucił rekurs Władysława hr. Platera jako Dyrektora Narodowego Muzeum w Rapperswylu i exekutora testamentu ś. p. Krystyna Ostrowskiego, wniesiony przeciw wyrokowi Sądu kantonu Vaud (Waad), nakazujący od zapisu uczynionego na rzecz Pomocy Naukowej, zostającej pod zarządem tegoż Muzeum, zapłacić podatek sukcessyjny w ilości 20% od zapisanego kapitału. Podatek ten pobiera państwo, to jest kanton Vaud i miasto Lozanna. Wypłacenie go uszczupli więc fundusz stypendyjny Krystyna Ostrowskiego o dziewięćdziesiąt kilka tysięcy franków. Liczono na szlachetność Szwajcarów, że nie zastosują wymagań z prawa spadkowego wynikłych do cudzoziemca, który nie był stałym mieszkańcem ich kraju i umarł w Lozannie w chwili właśnie wynoszenia się z tego miasta. Chciwość jednak przemogła nad względami szlachetności i słuszności. Pretensya Szwajcarów do tak znacznej kwoty z tytułu prawa obowiązującego w ich kraju wynikła, jest niezawodnie prawną ale nie słuszną. Powinno to być przestrogą dla ziomków, którzy mieszkają w krajach posiadających prawo o podatku spadkowym. Jeżeli chcą zostawiony przez siebie majątek zachować od uszczuplenia, niechaj za życia swego tak nim rozporządzą, ażeby żaden rząd do niego nie mógł się przyczepić po ich śmierci.

Ludność polska w Ameryce najliczniej skupiła się w mieście Chicago, nad jeziorem Michigan. Podają jej liczbę na 30.000. Z licznych towarzystw, jakie Polacy w tem mieście potworzyli, najdawniejsze jest Towarzystwo Polskiej Gminy w Chicago. W ostatnich wyborach prezydentem tej gminy został Wincenty Kowalewski. Sekretarzem jest Kajetan Pokrzywiński. Gmina Polska w Chicago zorganizowała w gronie swoim komitet teatralny, który zajmuje się wyłącznie urządzaniem polskich amatorskich przedstawień.

W Listopadzie 1885 r. w Chicago zorganizowało się towarzystwo pod nazwą Gwardya Pułaskiego. Oprócz innych zadań ma ono na celu pomoc wzajemną. Prezesem jest Maciej Waranko, sekretarzem jest Wiktor Karłowski Członkowie mają sprawić sobie mundury do występywania podczas uroczystości kościelnych i narodowych. Pod nazwą gwardyi, strzelców wolnych. jest już spora liczba towarzystw w Stanach Zjednoczonych pomiędzy Polakami. Nie wiemy jednak czy te towarzystwa oprócz mundurów mają w sobie coś więcej wojskowego, czy się ćwiczą w ruchach wojskowych, w robieniu bronią, w strzelaniu, czy starają się poznać teoryę wojny, czy zachowują karność i pielęgnują miłość Polskiej Ojczyzny, jednem słowem, nie wiemy, czy to są instytucye poważne, mające przyszłość na widoku, czy też potworzono je tylko dla parady? Nie wątpimy, że są one pożyteczne, my jednakże chcielibyśmy podnieść i powiększyć ich pożyteczność i dla tego postawiliśmy nasze pytania, które są zarazem życzeniami i radami.

W tymże samym Chicago młodzież polska założyła pod nazwą „Legion wolnych Krakusów“ towarzystwo, do którego może należeć każdy Polak nieposzlakowany poniżej 35 lat. Hasłem tej szlachetnej i dobrze myślącej młodzieży jest Honor, Wolność i Ojczyzna. Pierwsze walne zgromadzenie odbyło się 3. Stycznia 1886 r. Wszelkie zgłoszenia i korespondencye przyjmuje sekretarz Fr. M. Giżyński. Chicago, 145, Front str., Room 2. Życzymy szczęścia tym amerykańskim Krakusom. Oby mieli ciągle wzrok swój zwrócony na Polskę, i starali sią najlepiej sprawie jej wolności usłużyć.

Redakcya Ananasa krakowskiego, wypocząwszy dostatecznie po karnawałowem odurzeniu, zaczyna się obecnie już trzeźwo zapatrywać, a ostatni Numer — odznacza się zupełną przytomnością pomysłu, a zarazem świadczy o podwójnej pilności produkcyjnej Redakcyi.

Zaszła jednak pomyłka w drukarni i litografii jak donosi wydawca, gdyż manuskrypta w Nrze 6. umieszczone, miały przeznaczenie do Nru na dzień 15. Kwietnia 1911 roku. Redakcya z powodu strat materyalnych nie mogła pomyłki naprawić, a zmieniła tylko ortografię przyszłości, którąby mogła uniemożliwić odczytanie i zrozumienie treści. Numer ten jest arcyciekawy, bo jakby w jasnowidzeniu przedstawia przyszłość naszą za lat 25. Aby dać chociaż małą próbkę tej naszej przyszłości, podajemy kilka wyjątków z tego „Ananasa“:

Walne zgromadzenie „Towarzystwa do popierania wyrobów dziurkowych“ odbyło się w dniu wczorajszym w sali odczytowej wspaniałego gmachu Koła artystyczno-literackiego. Ze sprawozdania sekretarki dowiedzieliśmy się, iż liczba robotnic pracujących pod protektoratem Towarzystwa dosięga 300. Wydział zakupił w r. z. dwanaście maszyn elektrycznych, każdą o sile 12 koni, 8 uczennic uczęszczało do wyższej szkoły dziurek w Paryżu dwa razy na tydzień balonami kompanji Srodkowej Europy i po każdorazowym wykładzie wracało dla p[illegible]ielenia się nabytą wiedzą z krakowskiemi współtowarzy[illegible]ni. Do komitetu dam-opiekunek wybrano pp. Herminę z [illegible]ozenzweigów ks. Lubomirską, Zofję z hr. Potockich Vat[illegible]achtową, Emmę z ks. Radziwiłłów bar. Liebeskindową, Eulalję z Goldfiszów hr. Zamojską, Maryę z Dzieduszyckich Eilgutową i Różę z Abendblatów ks. Sapieżynę.

Popis gimnastyczny uczniów szkół publicznych wypadł nadzwyczaj świetnie. Pierwsze nagrody otrzymali: Mojsie hr. Potocki, Włodzimierz Apfelbaum, Zbigniew Pomerancer, Icek ks. Sanguszko, Dobiesław Paskidnik i hr. Salome Wodzicki.

Nowo wybudowany gmach magistratu, wzniesiony na małym Rynku, na miejscu zburzonej połaci między ulicami: Mikołajską, św. Rocha i Sienną, odbierało wczoraj prezydyum naszego miasta od przedsiębiorcy budowy. P. prezydent dr. Borański wyraził swoje zadowolenie tak z prędkości ukończenia jak i z wykonania tego monumentalnego budynku. Jutro wstawione będą w niszach frontowych posągi wszystkich prezydentów tj. Dietla, Zyblikiewicza, Weigla, Szlachtowskiego, Jordana, Jakubowskiego, Rzewuskiego, Pawlikowskiego i Romanowicza. W prawym pawilonie gmachu urzędują już na drugim piętrze: biuro wykazu posagów, bióro podatku od noszenia butów, główny zarząd parostatków miejskich na Wiśle, oraz sekcya szkół dla niemowląt płci żeńskiej.

Komitet pomnika Mickiewicza uchwalił na wczorajszem posiedzeniu ogłoszenie stanowczego konkursu Ostatni (ośmnasty z rzędu) konkurs wykazał tyle prac oryginalnych i wykonanych artystycznie, że powodzenie ostatniego konkursu nie ulega wątpliwości. Warunki konkursu: pomnik ma być w stylu rokoko, poeta ma stać lub siedzieć na pegazie, figura poety ma być naga, ręce tylko schowane być mogą w kieszeniach, figury boczne mają być zużytkowane jako słupy telegraficzne, a wgłębienie podstawy w części tylnej służyć ma za budkę sodową. Składki na pomnik wynoszą dotychczas do 320,000 złr. wydatki na konkursy 181,224 złr. Z artystów rzeźbiarzy biorących udział w konkursach umarło 32, z tych 4ch na uwiąd starczy, sześciu z niedostatecznego pożywienia, 5ciu na choroby umysłowe, czterech na atak apoplektyczny, ośmiu na zalanie żółcią — reszta skończyła samobójstwem.

Donoszą nam ze Lwowa: Gazeta Narodowa już od dwóch miesięcy nie zmieniła ani właściciela ani redaktora. — P. Platon Kostecki wydaje w 10 tomach in folio swoje poezje okolicznościowe. — Pp. Gubrynowicz i Schmidt stawiają własnym kosztem pomnik zmarłemu przed laty właścicielowi Księgarni Polskiej. — Redakcyą urzędowej Gazety lwowskiej obejmuje p. Henryk Rewakowicz, radca namiestnictwa. — Pani Nowakowska wybrała na swój benefis komedyjkę „Dzieciaki“. — Prezydent miasta dr. Jägerman wręczył wczoraj dyplom honorowego obywatela p. Janowi Lamowi.

Nieoceniona jest rycina z następującemi tytułami: 1) Sessya sejmowa podczas mowy hr. Stanisława Preiscouranta. 2) Korespondent „Ananasa“ podczas pożaru Pekinu. 3) Manewra kawaleryi i artyleryi pod Baranią Wólką. 4) Nowo wybrany prezes Akademi umiejętności. 5) Najnowsze mody paryskie. 6) Szef wydziału spraw katolickich w francuskiem mini steratwie wyznań.

A to wszystko dzieje się w r. 1911.

Z teatru.

Obrazek swojski, rodzimy, zanoszący wonią polnych kwiatów, ukazał się w stalugach sceny naszej i ubawił nas serdecznie.

Spółka Schmitt et Wojdałowicz wystąpiła z „Dziaduniem filutem“ i pozyskała względy publiczności. Czyż opinia krytyka ma zawsze i zawsze odbiegać głosu powszechnego, który jest głosem bożym!

Krytyka za nadto jest marudną — jeżeli ma dobry dyalog — szemrze na budowę — jest dobra fabuła — utyskuje nad szablonem charakteru.

Przypomina się prawie typ żydka-przekupnia. Pokażesz mu surdut, żąda fraka, — dajesz frak chciałby surduta.

Ot! i w tym wypadku zachciewa się bardziej interesującej intrygi i wyrazistszej bajki.

Reszta jest prawie świetną. Mamy parę cudownych dziewcząteк. Jest uczciwy jak cnota sama dziadek. Szlachcic mizantrop ma w gruncie najlepszego gatunku serce. Jednem słowem w komedyi spoglądamy na ludzi dobrych, zacnych, chociaż tu i owdzie zapylonych kurzem drobnych przywar i ułomności ludzkich. Słabostki te jednak oczyszczają się w ciągu wieczora, a widz pod wrażeniem wysłuchanej komedyi odchodzi do domu, deklamując radośnie pod nosem:

Chociaż to życie idzie jak po grudzie,
Nieźli — dalipan są ludzie.

Myśl ta ożywcza pożądaną jest w czasach, kiedy moda wywleka na scenę ludzi, których właściwe miejsce w areszcie lub w domu poprawy. Miło tedy odświeżyć się w towarzystwie uczciwych ludzi i żałować wypada, że są oni tylko na scenie.

Pessymizm, zatruwający komedye współczesnych naszych autorów niedotknął zaledwie Michała Bałuckiego — a nasi autorowie do jego szkoły nezęszczali. Poznać to po bezpretensyonalności, po swojskim, naturalnym, nie nadto głębokim i nie nadto płaskim dowcipie.

Artyści nasi sprawili się wybornie, grano z werwą i z udzielającym się widzom humorem. Odgrzewać zaś stare prawdy — podnosić koncertową grę pani Kwiecińskiej, Stachowiez, p. Fren[illegible] i innych, wydaje nam się niepotrzebnem.

„Więzy małżeńskie“ trzyaktowa farsa Zlotki jest udałą rzeczą, ubraną z niemiecka.

Autor nie wynalazł wprawdzie ani prochu ani nowych pomysłów — wykrzesał jednak z dawniejszego meteryału kilka skrzących sytuacyj, naszpikował to zabawnymi często konceptami i nie wpadł w trywialność.

Sztuka przemówiła do fantazyi naszych artystów, a więc zagrali ją ochotnie a w tak szybkiem a smacznem tempie, że nawet ciury obozowe — nie mowimy tu ani o p. Wojdałowiczu ani o pnie Pysznikównej — grą tą porwać się dali.

* * *

W naszych czasach zajęła prasa poważne wielce wpływowe stanowisko, z którego kieruje rozwojem wszystkich prawie instytucyj w większej lub mniejszej mierze; dla rozwoju sceny przedstawia prasa a raczej jeden z jej składników t. j. krytyka wielce ważny pierwiastek. W zasadzie bowiem i teoryi zachęca obiecującego autora dramatycznego, podkreśla mu błędy, wskazuje drogę poprawy, lub radzi wreszcie nieutalentowanemu przybyszowi skruszyć autorskie pióro i wstrzymać się od niepożytecznej fabrykacyi sieczki. Jeżeli jednak autor apelować może do wyższych trybunałów od wyroków nieudolnych, podyktowanych bądź ignorancyą, bądź stronniczością, — to aktor związany z miejscem musi wierzyć słowom lokalnego krytycznego satrapy. Przejdźmy się tedy po tutejszych dziennikach, odkryjmy larwy zasłaniające oblicza tych lwich zoilów i poznajmy wielkich prawodawców i sędziów, których przykazania są zakonem i prawdą najwyższą, zaleconą do wiary i do zbudowania duszy naszych aktorów.

Przed kilku jeszcze laty w obozie krytycznym tutejszego ciała publicystycznego kręciły się figury niemyte i nieuczesane, nieznające mydła, gąbki ni grzebienia — ale byli to ludzie z wielkim talentem, ludzie, którzy dali literaturze drogocenne brylanty — niewyszlifowane może, nieogładzone, ogołocone z misternej złotniczej oprawy, ale zawsze więcej warte, niżeli podawane dziś w takiej obfitości polerowane szkło czeskie. Nie wymieniamy nazwisk. Ludzie ci spalili się lub palą w ogniu własnych namiętności, a społeczeństwo tracąc świetne siły, ubolewa nad ludźmi, potępia ich nawet — ceni jednak zawsze płody ich umysłu.

Nieumyte te talenta służyły redakcyom naszych Timesów i dzierżyły berło krytyczne. Recenzentom tym wierzył w pierwszej linii aktor, wierzyła im publiczność szersza, wierzyły i szczuplejsze koła wykształconych miłośników i znawców sceny; zdarzało się wprawdzie, iż recenzya taka zabrudziła się osobistością jej autora, zdarzały się tam namiętne acz zawsze artystyczne wybryki i koziołki, lecz chłosta była przybraną w pyszny dowcip, chwalba trzymała się miary, forma olśniewała a treść uczyła. Erudycya nie dopisała czasem — lecz zawsze czytałeś gust i sąd literata z krwi i kości — artysty, który niedociekłszy czegoś rozumem pomógł sobie intuicyą i obronną wychodził ręką. Nie była to krytyka roztropna, na wskroś rozumna, ale bodaj smaczna. Nie mieliśmy Bogusławskiego Władysława — ale pisywał dowcipny Stebelski, odznaczający się krewkim i męskim sądem Czerwieński lub Spausta.

W ostatnich kilku latach nastąpił w dziedzinie tutejszej krytyki teatralnej stanowczy przełom. Cygani literaccy ustąpili miejsca ludziom porządnym, noszącym świeżą bieliznę, fryzującym się przykładnie i trzeźwym — ale to trzeźwym aż do nudności. Krytycy ci zasiadają do elaboratu z powagą biórokraty i z tegoż ślepą pedanteryą; rzeczy sztuki ważą aptekarską miarą bezmózgiego kupca, oznaczając wedle gotowego szematu, ile drachm nieledwie humoru i werwy zawiera dana komedya, ile uncyj uczucia wlał autor w dramat, a metrem rozmierzają konstrukcyę i budowę sztuki. Boć rzecz to najłatwiejsza — posługiwać się w ocenie obcą myślą i przywłaszczonym sobie sądem a nie wyjeżdżać z własnym, oryginalnym na rzecz poglądem, zwłaszcza, jeżeli się ma tyle bodaj świadomości, że się na takim mizernym bojowym rumaku daleko nie zajedzie.

Dawniejszy cygan-literat artystyczne również wykonywał rzemiosło, i kiedy w z irytowanym ostrem słowem aktorze lub autorze żółć wezbrała i kiedy zgorączkowany zapytał: coś ty za jeden, który mnie tak gryziesz — wskazywał recenzent bibułę zadrukowaną jego pracami i bibułą tą ciskał interpelantowi najwymowniejsze racye.

A dziś?

Dzisiejsi recenzenci zdobywają świadectwa egzaminów prawniczych, które są o tyle miarodajne, o ile miarodajny byłby np. patent astronomiczny dla aktora, kulawego, ślepego i garbatego.

Sztuka jest sztuką — a prawo prawem; zyzooki zaś autor filozofii prawa przedstawia dla dyrektora teatralnego mniejszą wartość, niżeli dobrze zbudowany młodzian, który dobrze frak nosi i z powodzeniem role milczących kamerdynerów grywa.

Z wieku, powagi i urzędu, pierwszeństwo należy się *Gazecie lwowskiej*.

Ależ do dyabła — nie mamy w *Gazecie lwow.* recenzenta teatralnego — odezwała się pewnego razu reprezentacya władzy — czy nie mógłbyś mi pan jakie indywiduum wyszukać?

Do usług Ekscelencyo! mamy tu jednego pysznego estetyka — jest za kulisami jakby u siebie. Pracuje obecnie w departamencie propinacyjnym czy wojskowym. Ale to nic nie szkodzi, będzie go można odkomenderować.

Tym tedy znajomościom za kulisami, zawdzięcza dzisiejszy recenzent *Gazety lwow.* tytuł i stanowisko c. k. krytyka. Zresztą wchodził on w nowy zawód dość przygotowany; miał już od dawna wstęp do kasyna narodowego, mógł się tedy wiele praktycznego poduczyć i przyjrzeć z bliska nietylko jednej, ale kilku sztukom pięknym w wykwintnych salonach kasyna narodowego gościnnie podejmowanym.

Zresztą umiał po francusku, czytywał paryskie pisma codzienne, pisał stylem spokojnym, poprawnym, lojalnym, po ośm centów od wiersza płatnym; dość powiedzieć, że był to styl wćwiczony na elaboratach departamentu wojskowego c. k. Namiestnictwa! A wykształcenie estetyczne? Mon dieu — powiedziała protegująca go hrabina — niechaj słucha tylko co my mówimy, a napisze rozumniej, niżby całą bibliotekę przetrawił. Odkomenderowany recenzent słuchał więc, słuchał, a że miał dobrą pamięć, przeto w krótkim czasie recenzye jego stały się wiernem echem „towarzystwa“.

Szan. recenzent opisuje naprzód słyszany na scenie utwór a podaje treść tak skrupulatnie, że profesor języka polskiego zadający uczniom gimnazyum niższego podobne tematy opisowe, odznaczyłby go niezawodnie stopniem „zadowalniający“. Następuje teraz ocena krytyczna. Jeżeli jest to sztuka francuska — tłumaczymy sobie wygodnie sąd p. Vitu lub p. Sarcey, bo wiemy, że wiara w powagi jest koniecznym postulatem wszelkiej lojalności. Jeżeli mamy do czynienia z polskim autorem, w takim razie przypominamy sobie, czy nie ma w sztuce jakiego gołego szulera - hrabiego lub hrabiny kokotki; czy nie ma słowa, wyrazu lub sytuacyi, któraby nadwątlała powagę towarzystwa. O! bo takie rzeczy muszą być potępione, „ostre trzeba przecinać dzioby“ choćby nawet przyszło zdolnemu autorowi zarzucić brak talentu, daru spostrzegawczego i sztuki pisania.

Bo w tych czasach demagogicznych prądów, które wświdrowują się w uświęcony organizm arystokratyczny, żadnego pisarza pewnym być nie można. Ot niedawno, taki Adolf Abrahamowicz palnął ni ztąd ni zowąd w ostatniej komedyi swojej kilka bluźnierstw społeczno-towarzyskich, zohydził miły Bogu stan baronowski i odważył się wsunąć na scenę postać rozwiązłej hrabiny i zidyociałego pokrakę-hrabicza.

Naturalnie recenzent *Gazety lwow.*, który rodem, fortuną i szlachetnością serca i umysłu wyższym sferom przynależy — umie należycie schłostać niepoczesne takie wybryki, a wspinając się wysoko na palcach, wysuwa nad poziomy białą legitimistyczną chorągiew i czy to w elaboracie wygotowanym w służbie departamentu wojskowego c. k. Namiestnictwa, czy w recenzyi, teatralnej otacza archanielskiem skrzydłem narodowego pamiątki kościoła!

Ocena gry artystów podlega znowu innym wcale powikłanym konjunkturom. Wobec płci brzydkiej można zająć czasem stanowisko obojętnej neutralności, naturalnie wtedy tylko, jeżeli histrjon nie pozwoli sobie wyszydzić na scenie jakiejś szczególnej figury kasynowej z wycieńczonymi nogami. Ale artystki? Oh! obowiązki tych nie są tak łatwe, jakby się na pozór zdawać mogło. Zdolność artystyczna — to dopiero połowa. Artystka powinna być i za sceną uprzejmą, grzeczną i posłuszna — do niemożliwości. Niwelacya kast jest tu nietylko wskazaną ale i konieczną. Stan artystek i loretek, powinien się zbiegać i stanowić piękną harmonię — cudowną jedność. Nie powinniśmy nawet wiedzieć w którem miejscu kończy się aktorka, a w którem loretka poczyna. Ta różnica bowiem jest nieznośna, wypędza nas z teatru, w którym nie znajdujemy emocyi i dziwi się ulica, że wolimy tingel-tangel, albo że obcej a posłusznej i względnej *divie* nie szczędzimy kwiatów i oklasków.

Zadaniem tedy prasy naszej jest — wskazywać każdej świeżej aktorce źródło prawdziwego powodzenia i rzetelnych obowiązków; że zaś prosto z mostu pisać tego nie można ze względu na §. 132 IV. u. k. — przeto domyślne czytać to mogą między wierszami w ustępach, w których z niezrównaną bystrością chłoszczemy wyborną nawet *entre nous soit dit* — grę naszych aktorek, które chcą być zarazem dobremi matkami, żonami, dziewicami wreszcie, nie pomnąc że dziewica teatralna nazywać się winna w cywilizowanym języku *vierge du mal* a królową sceny zdobi jedynie djadem *de la reine entretenue.*.

Nie dziw tedy, że sztuka nikczemnieje, a ratunek jedyny — przekształcić ją w ekspozyturę narodowego kasyna. Szkoda tylko że nie ma ś. p. Józia; on to wszystko urządzał szybko i bez hałasu — a najniesforniejsze nawet, zjednywał szybko, lekko, a co najważniejsza — bardzo tanio.

Gazeta narodowa stała się znowu przystanią dla chorych nieuleczalnie. Jeden z redaktorów cierpi na epileptyczną straszną chorobę, wykręcającą konwulsyjnie poetyckie jego zapały. Chociaż jestto choroba chroniczna, to przecież obfituje w dość częste napady, które uwidoczniają się w apokaliptycznych prawdziwie poczwarach w postaci wierszów toastowych (gdzie Polak - zbrodniarz lepszym jest od dobrodusznego lub rycerskiego szwaba).

Jeżeli zważymy, że chroniczna głupota jest rodzajem choroby mózgowej, to zrozumiemy dlaczego p. V., przystojne bardzo p t a s z ę — pasowany został na recenzenta teatralnego *Gazety narodowej.*

Pan V. nie wszedł w szranki krytyczne bez pewnego przygotowania. W gimnazyum przeczytał z pół aktu „Antygony“ Sofoklesa i przetłumaczył kilka scen „Don Carlosa“ Schillera, a *ex propria diligentia* przerobił kilkadziesiąt wierszy Tassa Göthego. Kształcił tedy zmysł estetyczny na potężnych wzorach, a jeżeli dodamy, że śledził pilnie rozwój literatury dramatycznej, przysłuchując się z upodobaniem „Trójce hultajskiej“, „Dwom złodziejom“ i innym podobnym arcydziełom — toć nie dziw, że wyrobił w sobie ten delikatny zmysł krytyczny, który umie wywęszyć najmisterniejsze piękności.

Talent jednak choćby najbujniejszy zmarnowałby się nieraz, gdyby nie znalazł mecenasa. Szczęśliwa gwiazda, pod którą zrodziło się krytyczne nasze dziennikarstwo, uratowała roślinkę tę, zwiastującą obfite plony najpiękniejszego kwiecia. Znalazł się mecenas; był nim szanowny — znany z nauki, miłosierdzia, skromności a surowości obyczajów Jan Kanty okolic kulikowskich, głośny prałat Stojałowski. Czuwał on od dawna nad rodziną p. V., a uszczęśliwiwszy już przedtem jedną żeńską jej latorośl, zwrócił dłoń swą dobroczynną ku p. V.

A wydawał szanowny prałat pisemka zwane *Pszczółką* i *Wieńcem*, które pobożną swą treścią a godnym księdza prałata duchem bogobojności od lat już mnogich serca ludu tej krainy ożywiały i budowały.

I rzekł ks. Stojałowski: Pójdź synu, bom upodobał w tobie. Dało ci niebo talenta — zasiej je na mojej niwie a przystojnych i zacnych pożytków się doczekasz.

Poszedł tedy p. V· za głosem, który wołał z nieba i zasiał swe talenta na *Pszczółce* i *Wieńcu* i radował się z ks. prałatem. że talenta jego nie pójdą marnie i że zacnych pożytków z nich się doczeka.

I zdarzyło się raz, że prałat z apostołem swym pogadanką w cywilnych sprawach się zabawiając, karygodną instytucyę złodziei dotknęli.

A wonczas zaśmiało się p t a s z ę i „Dwoma złodziejami“ prałata bawić poczęło.

Zgorszył się prałat jakowejś niecnej aluzyi w tem dopatrując — niebawem jednakowoż wytłumaczył mu p. V., że w teatrze ucieszną komedyę pod tym tytułem pokazują — a kiedy na zapytanie prałata jął opowiadać, że bywał nieraz w teatrze i modestyi nie obserwując o wiedzy swej estetycznej a czytanym Sofoklesie i o chórzystkach — o Göthem i o trykotach począł rozprawiać — ucieszył się ksiądz prałat i wykrzyknął:

Toż ty byś bracie, mógł być nawet recenzentem teatralnym!

Czemu nie — brzmiała odpowiedź i ozwało się mlaśnięcie językiem, jakby illustracya wspomnień chórzystek i trykotów.

A żył w onym czasie mąż, który posiadał dwa zakłady lecznicze. Jeden zwał się Fürstenhofem i leczył tych, w których wyzdrowienie nauka jeszcze nie zwątpiła — drugi zaś zwanym był *Gazetą narodową*. Rozmaicie mówili o Drze Czerwińskim; jedni byli zdania, że doktor na sery zajmuje się polityką, — drudzy, że bezmyślnie rozrzuca pieniądze. Doktor tymczasem zaciekle badał choroby umysłowe, a zbierając materyały do dzieła psychiatrycznego założył dziennik, rekrutując doń przeważnie kretynów.

P. V. tedy zachęcony światłem orzeczeniem ks. Stojałowskiego zgłosił się do Doktora. Doktor pogawędził z nim godzinę i uradowany przepysznym okazom obdarował go posadą współpracownika *Gazety narodowej*

Tą drogą tedy dostał się p. V. do *Gazety* i nie zawiódł dotąd oczekiwań swego chlebodawcy, któremu zbiór recenzyj p. V. posłuży do opracowania ciekawego ustępu Psychopatologii pt. Recenzent teatralny.

Jeżeli zważymy, że warjactwo nieszkodliwe bawi — nie potrzebujemy się tak dalece gorszyć działalnością pisarską p. V., tembardziej, że wpływ jej na rozwój artystów zbliża się do zera. Aktorowie są przeważnie czwanymi lisami i poznają się szybko na recenzencie — toż słyszałem, że za kulisami panuje wielkie święto i wesele w dzień zjawienia się świeżego płodu muzy krytycznej p. V.

Zresztą cierpi obecnie p. V. na chorobę sercową; po sercu tem skacze szeroka i potężna stopa pewnego dziewczątka naiwnego — toż prace dzielnego krytyka mającą Don Kiszotowskiem wołaniem: Najlepszą, najpiękniejszą postacią — jest moja Dulcinea z Krakowa czy z Toledo.

W *Dzienniku pol.* — dzięki Bogu rozumniej trochę. Pan O. B. zdradza wiele gustu i taktu. Nie potępia w czambuł i nie rozpływa się w pochwałach.

Potrawy jego nie nadto wymyślne, smakosz pragnąłby wspanialszego jadła — ale w rezultacie podane są apetytnie.

Sumienny i bezstronny recenzent wywalczył sobie w kołach teatralnych pewne uznanie a artyści nie gardzili jego radami, podawanymi uprzejmie, bez złośliwości i w interesie rozwoju sztuki.

Litery O. B. znikły jednakże od niedawna z *Dzien. pol.*, a spotykamy się tam z jakimiś nieznajomymi znakami. Ciekawy nieznajomy za mało jeszcze pisał, abyśmy zdolności jego osądzić mogli; czuć tylko w pisaniu tem wielką pewność — jak dotąd jedynie siebie samego, jakoteż zapalczywość i gwałtowność nieodłączną od początkującego pióra. Są to wyrzynające się ząbki — szlifujące się pióro.

Muzyka ma również dwóch taksatorów. Pan Gall z *Gazety lwowskiej* nosi długie włosy, symbol artystycznego rzemiosła, rozpiera się w teatralnym fotelu i stroi miny prawdziwego znawcy, dźwiga na kolanach partyturę wykonywanej opery, spoglądą jedném okiem na scenę, drugiem zérka w partyturę — a biada śpiewakowi, który choćby jeden takt zmieni lub opuści. Dodatnią stroną tego recenzenta stanowią uszy, — które słuchają tylko muzyki, niezinteresując się stronniczymi szeptami.

P. Niewiadomski — darzący zdaniem swem *Kurjera lwowskiego*, posiada znacznie młodsze, bardzo wymuskane uszy. Jest to luby blondynek, który na balu literackim udawał hrabiego z „Tadeusza“. Lubuje się w starożytnościach. Siaduje w loży dyrektorowej pay Celiny Dobrzańskiej; doprowadził już do korepetytora muzycznego, chciałby jednak posunąć się na dyrektorstwo. Daj mu Boże szczęścia w tej żmudnej podróży. W tych warunkach nie ma jednak mowy o krytyce bezstronnej — w tych warunkach trzeba patrzeć w źrenice dyrektorowej i chwytać uchem jej słodkie, a rozumne słowa.

Ażeby złośliwa swawola nie podyktowała fałszywej interpretacyi zdań ostatnich, musimy użyć słów Edwarda III., podnoszącego podwiązkę swej metresy:

Honny soit, qui mal y pense.

Skończyliśmy tedy małą przechadzkę po bezbarwnych piaskach naszego krytycyzmu.

Napisanie tych uwag spowodowały względy dwojakie.

Żal nam po pierwsze publiczności, która karmię się kancelaryjną, niekompetentną, stronniczą lub bezmyślną oceną krytyczną, idzie czasem w myśl tych drukowanych bajań, a chociaż im zwykle niedowierza — to jednak znajduje między sądem własnym, a wyczytanym zbyt wielkie przepaście — pyta sama siebie, czy sąd niefachowego człowieka tak daleko od sądu fachowca odbiegać może? Otóż — prosimy państwa — to nie żadni fachowcy, to są tacy odkomenderowani urzędnicy, lub zbankrutowani prawnicy, którzy widzieli z galeryi Sarę Bernhardt lub Rossiego, przeczytali kilka broszurek, nie mają co robić i uczepili się sceny.

Nie rozumiejąc, że aktor zależy od humoru i [illegible]wnego natchnienia, które czasem chwilowo nie dopisze, zacierają ci rzemieślnicy krytyki z zadowoleniem ręce, jeżeli uda się wytropić aktora na chwilowym błędzie.

Sławny skrzypek Paganini grywał czasem [illegible]fatalniej — [illegible] znawca nie mógł o nim powiedzieć, że gr[illegible] nie umiał lub grać nie chciał, jeno sprowadzał efemeryczną niedyspozycyę do misternych, a kapryśnych tajników talentu. Między szyciem butów, pisaniem recenzyi a produkcyą artystyczną, jest przecież pewna różnica.

Co zaś do artystów — tych prosimy, aby sobie krwi darmo nie psuli, bo w tym wypadku — „nie wart pałac Paca, a Pac pałaca“. Gdyby personal teatralny był tak lichy, jak jego sędziowie, naówczas szkodaby było miejsca, które artykuł niniejszy *Strażnicy* zabiera.

Magazyny: Rynek l. 30, i ulica Halicka l. 6.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz.** Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9

Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego